



GIOVANNI BOCCACCIO

---

**Dekameron, Dzień  
trzeci**



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

GIOVANNI BOCCACCIO

DEKAMERON

# *Dzień trzeci*

TŁUM. EDWARD BOYÉ

# Spis treści

Opowieść pierwsza. Wilk w owczarni . . . . .	5
Opowieść druga. Król włosy strzyże . . . . .	8
Opowieść trzecia. Spowiedź . . . . .	11
Opowieść czwarta. Droga do raju . . . . .	15
Opowieść piąta. Koń i żona . . . . .	18
Opowieść szósta. W miłości jak na wojnie . . . . .	21
Opowieść siódma. Pielgrzym . . . . .	25
Opowieść ósma. Ferondo w czyścicu . . . . .	33
Opowieść dziewiąta. Giletta z Narbonne . . . . .	39
Opowieść dziesiąta. Diabeł i piekło . . . . .	44

Już zorza za nadejściem słońca zmieniła purpurę swoją na złoto, gdy w niedzielę królowa, podniósłszy się z pościeli, całe towarzystwo obudzić kazała. Marszałek dworu wysłał był już przedtem wszystkie potrzebne rzeczy na nowe miejsce pobytu, chcąc przygotować wszystko na przybycie gości. Ujrzawszy, że królowa już do drogi się zbiera, rozkazał resztę sprzętów zabrać i jak ze zwiniętego obozu pociągnął ze służbą i wozami w ślad za damami i młodzieńcami. Królowa szła na przodzie wolnym krokiem, w otoczeniu dam i trzech kawalerów, wśród śpiewu dwudziestu może słowików i innych ptasząt, mało uczęszczaną ścieżyną, porosłą trawą i kwiatami, które już do słońca otwierały kielichy swoje. Droga wiodła na zachód; towarzystwo szło gwarząc, przekomarzając się z sobą i wesoło się śmiejąc. Ledwie dwa tysiące kroków uszli, gdy królowa około trzeciej godziny ukazała im piękny i bogaty pałac wznoszący się na pagórku ponad doliną. Wszyscy weszli do wnętrza, rozejrzeli się po wielkich salach i po ozdobnych komnatach, które wyposażone we wszystko, do wczasu<sup>1</sup> nęcić się zdawały, i jęli wychwalać właściciela tej posiadłości, co zbytek i wspaniałość z wygodą łączyła. Później, zszedłszy na dół, obejrżeli obszerny i cienisty podwórzec, piwnice pełne win wysmienitych, fontanny świeżą wodą tryskające, i jeszcze goręcej wszystko zachwalali. Wreszcie, srodze zmęczeni, zasiedli na balkonie, który nad dziedzińcem się wznosił. Balkon był umajony kwiatami i zielonymi gałęziami. Wnet też zjawił się niezawodny marszałek i ugościł ich winem i słodyczami. Po czym otworzywszy furtkę, udali się razem do ogrodu otoczonego ze wszystkich stron murem. Z początku zachwycali się ogólnym widokiem sadu, a później wszystkie jego urocze zakątki zważali. W krąg i pośrodku, w różnych kierunkach, biegły aleje proste jak strzały i ocienione winną latoroślą, która na ten rok wielką gron obfitość obiecywała. Winograd był wówczas w rozkwicie i woń jego, zlewająca się z zapachem innych kwiatów, przypominała wszystkie pachnidła Wschodu. Wzdłuż dróg i ścieżek rosły krzewy białych lub czerwonych róż i jaśminów, dzięki czemu nie tylko o poranku, ale i w dzień, w czasie największego żaru, można było tu wonnego chłodu zażywać i chodząc wszędzie, chronić się przed palącymi promieniami słońca. Słów by nie starczyło na wyliczenie wszystkich roślin i kwiatów, które cały ogród przystrajały, dość więc będzie, gdy powiem, że nie brakło ani jednego cennego kwiatu, co w naszym klimacie żyć może. W środku sadu znajdowała się polana, najbardziej wabiąca ku sobie, a pokryta ciemnozieloną trawą, że niemal czarną się zdawała. Wśród niej jaśniało tysiąc różnobarwnych kwiatów, dokoła zaś strzelały ku górze pomarańczowe i cytrynowe drzewa, obarczone zarówno dojrzałym lub jeszcze zielonym owocem, jak i kwiatami. Od gałęzi padał cień i niosła się woń rozkoszna. Na polance wznosiła się fontanna z białego marmuru, rzeźbami przedziwnymi ozdobiona. Z figury na wysokiej kolumnie pośrodku stojącej (nie wiedzieć, czy przez siłę naturalną, czy też dzięki kunsztowi) tak potężny prąd wody ku górze tryskał, opadając w dół z szmerem przemiliwym, że tą siłą cały młyn poruszyć by można było. Woda, która już w zbiorniku pomieścić się nie mogła, spływała kanałami ukrytymi pod darnią i rozlewała się po rowach, polanę otaczających. Później podobnymi, małymi kanałami wszystkie części ogrodu przebiegała, aż w końcu mnóstwo tych jasnych wód, zebranych w jednym zakątku sadu, kanał odprowadzał w dolinę, gdzie poruszały się dwa młyny, pracujące ku pożytkowi właściciela pałacu. Widok ogrodu, jego ładu, kwiatów, fontanny i wypływających z niej strumieni całkiem oczarował młodzieńców i damy. Wszyscy jednogłośnie zgodzili się na to, że gdyby raj na świecie istniał, miałby ani chybi podobny pozór<sup>2</sup>. Nie lza<sup>3</sup> było bowiem już żadnej piękności ogrodowi przydać. Towarzystwo, wielce ukontentowane, krążyło po sadzie, splatało z różnych gałązek wspaniałe wieńce i słuchało szczebiotu rozlicznych ptasząt, które jakby o pierwszeństwo z sobą walczyły. Nagle odkryto jeszcze jedną zaletę ogrodu, która przedtem uszła wzroku olśnionego innymi pięknosciami. Damy i młodzieńcy ujrzeni mianowicie mnóstwo różnych zwierząt i poczęli je sobie nawzajem pokazywać. Tu siedziały króliki, tam biegały zające, dalej leżały kozy i pasły się młode jelenki, a prócz nich wiele innych zwierząt nieszkodliwych i oblaskawionych przechadzało się wedle swej woli. Igraszki zwierząt powiększyły jeszcze ukontentowanie towarzystwa. Zażywszy przechadzki i nadziwówawszy się dość wszystkim, kazali ustawić stół obok wodotrysku. Przed obiadem zaśpiewali jeszcze kilka pieśni i potańczyli,

<sup>1</sup>wczas (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>pozór (daw.) — wygląd. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>nie lza — nie wolno; tu: nie można. [przypis edytorski]

aż wreszcie na rozkaz królowej do stołu zasiedli. Wyborne potrawy z radością powitane zostały, po czym weseli od stołu powstali. Po posiłku znów pieśniami, tańcom i grom różnym się oddawali, póki królowa, widząc, że żar dzienny się zwiększa, do południowego spoczynku nie wezwwała. Wówczas jedni wczasowi się oddali, a drudzy, nie chcąc ani na chwilę wspaniałego widoku sprzed oczu utracić, rozproszyli się po ogrodzie i na czytaniu powieści lub na grze w szachy i warcaby czas spoczynku trawili. O dziewiątej godzinie wszyscy podnieśli się i orzeźwiwszy oblicza świeżą wodą, zebraли się koło fontanny. Zgodnie z ustanowionym porządkiem zasiedli dokoła i czekali na znak królowej. Królowa skinęła na Filostrata, któremu tego dnia pierwszemu mówić przypadło.

## OPOWIEŚĆ PIERWSZA. WILK W OWCZARNI

*Masetto z Lamporecchio, udając niemowę, godzi się na służbę jako ogrodnik do pewnego żeńskiego klasztoru. Wszystkie mniszki ubiegają się o to, aby z nim sypiać.*

— Moje miłe damy! Żyje na świecie wiele kobiet i mężczyzn tak głupich, iż pochopnie wierzą, że skoro się młodą dziewczynę w białą zasłonę ubierze i habit czarny na nią narzuci, zaraz ona kobietą być przestaje i od chuci swoich cielesnych jest uwolniona, tak jakby z wejściem do klasztoru w kamień twardy przemieniła się. Jeżeli usłyszą coś, co przeciwne jest ich wierze, wzbudzają się tak, jakby to było wielkim grzechem przeciwko przyrodzeniu<sup>4</sup>. Oczywiście, ludzie ci nie chcą pomyśleć i osądzić po samych sobie, chociaż mogąc czynić, co tylko zechcą, nie są zdolni nasycić swych pragnień ani też nie biorą pod uwagę, jaki niebezpieczny wpływ próżnowanie i samotność sprawują. Z drugiej strony są i tacy, którzy sądzą, że siekiera, łopata, grube potrawy i ciężka praca przytępią u kmieci żądze przyrodzone i niedołącznymi na umyśle i dowcipie ich czynią. W jakim błędzie jedni i drudzy pozostają, pragnę — idąc za wezwaniem królowej — pokazać wam w mej krótkiej opowieści, która nie wyjdzie poza obręb materii dla opowiadań naznaczonej.

„Niedaleko stąd wznosił się żeński klasztor (istnieje on jeszcze po dziś dzień), słynący z wielce nabożnych mniszek. Nazwy tego klasztoru wymieniać nie będę, nie chcę bowiem jego sławy na szwank przywołać. Przed niedawnym czasem, gdy w klasztorze znajdowało się tylko osiem młodych mniszek i przeorysza, służył tam pewien poczciwiec, uprawiający piękny klasztorny ogród. Ów, niezadowolony będąc z zapłaty, obrachował się z mniszkami i powrócił do Lamporecchio, skąd pochodził. Tam pośród jego przyjaciół był młody, zdrowy i krzepki pachoł, dość na obliczu gładki, Masettem zwany. Ów zapytał Nuto (takie było imię tego, co z klasztoru powracał), gdzie tak długo przebywał. Nuto odpowiedział. Wówczas Masetto spytał, jakiego rodzaju postugi w klasztorze spełniał.

— Trudziłem się w obszernym i pięknym ogrodzie klasztornym — odparł Nuto — krom<sup>5</sup> tego chodziłem po drwa do lasu, nosiłem wodę i innymi robotami byłem zatrudniony, aliści<sup>6</sup> zakonnice płaciły mi za to wszystko tak skąpo, że zaledwie było za co buty kupić. A przy tym wszystkie one są młode i prawdziwie diabła za skórą mają; żadną miarą dogodzić im nie można. Gdy pracowałem w ogrodzie, przychodzi jedna i rzecze: »Połóż to tutaj«, a druga woła: »Połóż to tam«, inna zasię<sup>7</sup> z rąk łopatę wydziera i krzyczy: »Nie zda się to na nic«. Takiej mi trudności przyczyniały, że rzucałem pracę i wychodziłem z ogrodu. Dla tych powodów tak mi robota obmierzała, że za służbę podziękować musiałem. Przy odejściu prosił mnie rzadca klasztoru, ażebym przybywszy tutaj obejrzał się za jakimś człekiem do pracy zdatnym i przysłał go do klasztoru na swoje miejsce. Przyrzekłem, że tak uczynię, ale niechże go Bóg tak zdrowym na nerkach uczyni, jak obietnicę swoją uiszczę i kogoś mu pošlę.

Gdy Masetto te słowa usłyszał, nabrał tak wielkiej chęci służenia mniszkom, że ledwie mógł na miejscu ustać, pomiarkował bowiem, że łatwie<sup>8</sup> mu będzie osiągnąć to, czego pragnął. Nie chcąc, aby Nuto czegoś się domyślił i popsuł mu szyki, rzekł:

<sup>4</sup>przyrodzenie (daw.) — tu: natura. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>łatwie — dziś popr. forma: łatwo. [przypis edytorski]

— Dobrześ uczynił, żeś klasztor opuścił! Jakże może mężczyzna z tyloma babami wytrzymać; radniej z diabłami wolałbym mieć do czynienia. W sześciu wypadkach na siedem razy nie wiedzą one same, czego chcą.

Skończywszy dyskurs z Nutem, Masetto, nie mieszkając<sup>9</sup>, przemyślał począł, w jaki by sposób do klasztoru się dostać. Wiedział, że jest zdatny do wszystkich tych robót, o jakich Nuto mówił — o to zatem spokojny był zupełnie. Bał się jeno, że dla jego młodości i urody wzięć go nie zechcą. Dobrze wszystko rozważywszy, tak rzekł do siebie: »Klasztor znajduje się daleko stąd i żywa dusza tam mnie nie zna. Gdy się wydam na niemowę, niechybnie mnie na służbę przyjmą«.

Ugruntowawszy się w tym zamiśle swoim, wziął siekierę na ramię i nie mówiąc nikomu, gdzie zmierza, udał się w drogę do klasztoru jako człek ubogi. Wszedłszy na dziedziniec, natknął się zaraz na klasztornego rządcę. Podszedł doń i znakami, jak to niemowy czynią, poprosił, aby mu dla miłości bożej kęs stawy dano, on zaś, jeśli trzeba, drew za to narąbie. Rządca ochotnie go nakarmił, a później ukazał mu kilka grubych pni, którym Nuto nijak rady dać nie mógł. Krzepki Masetto niedługo się z nimi uwinął. Rządca, który się właśnie do lasu udawał, wziął go z sobą i przykazał mu drew narąbać. Potem, przywiódłszy osła, pokazał mu znakami, aby polana na grzbiet bydłęcia włożył i do klasztoru zawiózł.

Masetto dobrze się z tego wszystkiego wywiązał, tak iż rządcą, znajdując go do roboty zdatnym, kilka dni go w klasztorze zatrzymał. Pewnego dnia przeorysza, obaczywszy pachola, spytała, kim on by był?

— Jest to biedny głuchoniemy, czcigodna matko — odparł rządcą — który w tych dniach po jałmużnę tu przybył. Dałem mu ją z chęcią, a później do wielu robót na podorędziu będących go użyłem. Gdyby się do uprawiania ogrodu nadał i miał chęć tu pozostać, sądzę, że bardzo by się nam mógł przydać. Pachol to silny, czego się tknie, dobrze sprawi, a przy tym obawiać się nie trza, by młodym mniszkom przygadawał.

— W samej rzeczy, masz słuszność — odparła przeorysza — dowiedz się więc, czy zna się na pracy w ogrodzie, i postaraj się zatrzymać go. Daj mu także parę butów, stary płaszcz, obchodź się z nim łaskawie i nakarm go dobrze.

Rządca obiecał, że tak uczyni. Masetto, stojący w pobliżu, udawał, że dziedziniec zamiata, aliści wszystko dobrze słyszał. Rzekł do siebie z radością: »Tylko mnie do klasztoru wpuśćcie, a tak wam ogród uprawię, jak jeszcze nikt przedtem«.

Rządca, uznawszy, że pachol zdatny jest do wszystkich robót, jał<sup>10</sup> go znakami pytać, zali<sup>11</sup>by w klasztorze ostać nie chciał? Masetto również znakami odparł, że się zgadza. Po czym rządcą zawiódł go do ogrodu, ukazał robotę najpilniejszą i odszedł do swoich spraw. Gdy Masetto tak dzień po dniu się trudził, jęły mniszki przekorę mu czynić i tysiące psot wyrządzać, jako to nieraz z niemymi się zdarza. Gadały mu także w oczy rzeczy najsprośniejsze, mniemając, że ich nie usłyszy. Przeorysza zaś, sądząc może, że brak mu równie ogona, jak i języka, mało na te figle uwagi zwracała.

Zdarzyło się pewnego dnia, że gdy Masetto po ciężkiej pracy leżąc wczasu zażywał, dwie młode mniszki, przechadzające się po ogrodzie, zbliżyły się doń i jęły patrzeć na niego. Pachol udał, że śpi twardym snem. Jedna z mniszek, widząc odważniejsza, rzekła do drugiej:

— Gdybym wiedziała, że ci zaufać można, podzieliłabym się z tobą pewną myślą, co mi już nieraz do głowy przychodziła. Upewniona jestem, że mój zamiśl podobalby ci się wielce.

— Mów śmiało! — odparła druga — ja cię przed nikim nie zdradzę.

— Nie wiem — rzekła pierwsza mniszka — zali rozważyłaś, pod jakim srogim nas tu trzymają dozorem, nie dając przystępu do nas żadnemu mężczyźnie, krom<sup>12</sup> starucharządcy i tego niemego pachola. Słyszałam często od białogłów, które klasztor odwiedzają, że wszystkie rozkosze tego świata są fraszką wobec przyjemności, jakiej niewiasta z mężczyzną zażywa. Przyszło mi na myśl (ponieważ innej sposobności nie mamy), aby z tym niemyym wypróbować, czy to prawda. Lepszego odeń do tego dzieła nie znajdziemy na

<sup>9</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>jał (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>zali (daw.) — czyby; czy też by. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

całym świecie; gdyby nawet i chciał, nie będzie mógł o tym nikomu słowa powiedzieć, zresztą, jak widać, jest to prawdziwy głupiec, wyrósł nad miarę, ale rozumu nie ma ani krztyny. Powiedz mi, co sądzisz o moim zamiśle?

— Jakże nieprzystojne rzeczy wygadujesz — odparła druga — zali nie wiesz, żeśmy z swego dziewictwa Bogu ofiarę uczyniły?

— Wiele rzeczy — rzekła pierwsza — przyrzeka się Mu codziennie, nie myśląc o ich dotrzymaniu. My ślubowałyśmy, a miast nas znajdują się inne, które ślub zdzierzą.

Druga mniszka spytała:

— A cóż będzie, jeśli w ciążę zajdziemy?

— Myślisz o nieszczęściu — odparła pierwsza — zanim ono się przytrafiło; gdy się zdarzy, wówczas nad nim głowić się będziemy. Tysiące sposobów jest na to, aby wszystko w tajności utrzymane zostało, jeśli tylko my same pary z ust nie puścimy.

Druga mniszka poczuła nagle wielką chęć uznania, co to za zwierzę jest ów mężczyzna, spytała tedy<sup>13</sup>:

— A jak to uładzisz?

— Jak widzisz, jest teraz godzina dziewiąta<sup>14</sup>. Wszystkie siostry, krom nas, ani chybi, śpią. Obejrzymy się wokół, czy nie ma kogo w pobliżu, a później weźmiemy niemowę za rękę i zaprowadzimy go do tej lepianki, w której przed deszczem schronienia szuka. Jedna wejdzie z nim do środka, a druga stanie na czatach. Niemowa jest tak głupi, że zrobi wszystko, co mu polecimy.

Masetto słyszał całą tę rozmowę. Gotów do posłuszeństwa, niczego tak nie oczekiwał, jak tego, aby go za rękę wzięły.

Mniszki rozejrzały się po sadzie, a upewniwszy się, że ich nikt nie widzi, podeszły do Masetta i obudziły go. Ten zaraz na nogi się porwał. Mniszka, która pierwsza z zamysłem swym wystąpiła, ujęła go za rękę i głaszcząc go zaprowadziła do chatki. Pachoł, uśmiechając się głupkowato, nie dał się zbyt prosić, jeno uczynił chętnie to, co chciała. Pierwsza mniszka pofiglowawszy do woli, jako wierna przyjaciółka, ustąpiła potem miejsca drugiej. Masetto, ciągle głupca udając, wcale się na to nie skarżył. Nim odeszły, jeszcze kilkakrotnie spróbowały, jak niemowa harcować potrafi. Później mawiały, że sama rzecz przechodzi wszelkie o niej opowiadania, i znalazłszy stosowną chwilkę, często z niemową igrały.

Pewnego dnia zdarzyło się, że któraś z mniszek, wyglądając oknem z swej celi, spostrzegła mile igraszki swych towarzyszek i zaraz je dwom innym mniszkom pokazała. Z początku chciały wyjawić wszystko przeoryszy, ale później zamiysł odmieniwszy, ugodziły się z tamtymi, aby i one skarbami Masetta cieszyć się mogły. W końcu po różnych przypadkach pozostałe trzy mniszki także się do kompanii przyłączyły. Wreszcie przeorysza, która dotąd niczego się nie domyślała, przechadzając się samotnie pewnego upalnego dnia po ogrodzie, spostrzegła Masetta, który po całonocnym dojeżdżaniu z sił opadł i spał rozciągnięty pod migdałowym drzewem. Wiatr odwiał mu koszulę, odsłaniając przed przeoryszą całe przyrodzenie. Przeorysza na tę pokusę poczuła równą chęć jak i jej mniszki. Widząc, że jest sama, obudziła Masetta i zawiodła go do swej celi, gdzie go przez kilka dni trzymała (ku wielkiej żalości mniszek, gorzko skarżących się, że ich ogród tak długo odłogiem leży) próbując uparcie, jak smakuje ta słodycz, którą zawsze potępiała. Wreszcie odesłała pachoła do jego izdebki. Ponieważ jednak często go jeszcze wzywała, żądając od nieboraka, który i tak ledwo pracy mógł wydołać, części równającej się wszystkim innym, pomyślał Masetto, że ta udana głuchota i niemota do wielkiego nieszczęścia go przywieść może.

Dlatego też pewnej nocy, gdy z przeoryszą w łożu leżał, nagle swój język rozwiązał i rzekł:

— Słyszałem wprawdzie, wielbna matko, że jeden kogut na dziesięć kur starczy, ale i to wiem, że dziesięciu mężów zaledwie jedną białogłową ukontentować może. Mnie jednemu przypadło dziewięć niewiast obsługiwać, czemu za wszystkie skarby świata podolać nie mogę. Już mnie to ogrodnicze rzemiosło do tego przywiodło, że nie mogę zdziałać

<sup>13</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>godzina dziewiąta — tu: według daw. miary, gdy jako pierwszą oznaczano godzinę wschodu słońca (odprawiano też wówczas pierwsze nabożeństwo), więc dziewiąta godzina przypadała ok. drugiej po południu. [przypis edytorski]



ani mało, ani wiele. Albo mnie więc z Bogiem odpuście, albo jakieś zapobieżenie na to zło znajdźcie!

Przeorysza, usłyszawszy słowa człeka, którego za niemowę poczytywała, przeraziła się niepomału<sup>15</sup> i zawołała:

— Dla Boga! Co to znaczy? Miałam cię za niemego!

— Byłem nim, matko wielbna — odparł Masetto — ale nie od urodzenia. Choroba odjęła mi mowę i dopiero tej nocy ją odzyskałem, za co nieskończone dzięki Bogu składam.

Przeorysza uwierzyła mu i spytała go, co znaczy owo napomknienie o jakichś dziewiciu białogłowach, którym służyć musi.

Wówczas Masetto wszystko jej wyjawiał, z czego przeorysza poznała, że nie ma w klasztorze ani jednej mniszki, co by głupsza od niej była. Jako białogłowa ostrożna, postanowiła, wprzód, nim Masetta od siebie wypuści, naradzić się z mniszkami, co uczynić należy, aby Masetto dobrej sławy klasztoru na szwank nie naraził. W tym czasie umarł właśnie stary rządcą. Mniszki przyznały się szczerze wobec siebie do popełnionego przez wszystkie grzechu i postanowiły wspólnie, za zgodą Masetta, rozpuścić wieści, że dzięki ich nieustannym modlitwom i wstawieniu się patrona klasztoru, niemy i głuchy pachół po latach wielu mowę i słuch odzyskał. Później uczyniły go rządcą klasztoru i tak mądrze pracę jego podzieliły, że jej wydołać potrafił. Chocia i wiele mniszatek na świat przyszło, przecie zakonnice tak ostrożnie działać umiały, że nikt niczego się nie domyślił. Dopiero po śmierci przeoryszy, gdy podstarzały Masetto do domu już z zebrany dobytkiem chciał powracać, sprawa na jaw wyszła. Wrócił do swej wsi, skąd wyszedł z siekierą na plecach, jako człek stary, bogaty i ojciec dzieci, niemający nijakich trosk o ich wyżywienie. Użył sprytnie młodości swojej i zwykł był powtarzać, że tak Bóg nagradza pracowitych ogrodników w winnicy swojej”.

## OPOWIEŚĆ DRUGA. KRÓL WŁOSY STRZYŻE

*Jeden z masztalerzy króla Agilulfa śpi w nocy z jego żoną. Król, uznawszy o tym, nic nie rzecze, ale znajduje go i głowę mu strzyże. Ostrzyżony strzyże innych i tym sposobem kary unika.*

Gdy opowiadanie Filostrata, które czasem rumieńce na twarzach dam, a czasem ich śmiech wywoływało, do końca dowiedzione zostało, królowa Pampinei zaczynać kazała; ta z wesołym uśmiechem na ten kształt mówić jęła<sup>16</sup>:

— Zdarzają się ludzie, co na wyskok pokazać pragną, że wszystko wiedzą i że nic tajne być im nie może ze spraw, których znajomością chlubić się im nie godzi. Nieraz taki człek, spostrzegłszy ukryte braki bliźniego, zaraz o tym powszędę głosi, mniemając, że przez to sławę swoją osłania, gdy tymczasem w istocie rzeczy na szwank ją przywodzi. Pragnę pokazać wam to, miłe towarzyszeki, na przykładzie zgoła przeciwnym: rozważę pewnego dzielnego króla. Zdarzyła mu się przygoda z człkiem czelności wielkiej, a niższej jeszcze, zapewne, od tamtego pachola kondycji.

„Longobardzki król Agilulf, śladem swoich poprzedników, lombardzki gród, Pawię, za stolicę swoją wybrał. Król pojął za żonę Teudelingę, wdowę po Autaryku, również longobardzkim władcy. Teudelinga była wielce urodziwą, mądrą i obyczajną białogłową, aliści w miłości niezbyt szczęśliwą. Gdy Agilulf roztropnością i dzielnością swoją sprawę longobardzkiego państwa do pomyślnego stanu i pokoju doprowadził, zdarzyło się, że w pięknej królowej zakochał się okrutnie jeden z królewskich masztalerzy. Był to człek, mimo swojej podłej kondycji, wieloma przymiotami uraczony, a do tego urodziwy wielce i kształtowny jak sam król. Chocia z niskiego stanu szedł, przecie rozumu nie był pozbawiony, dlatego też pojąwszy, że afekt jego do lubego skutku przywiedziony być nie może, nie dał najmniejszej po sobie poznaki i nawet namiętnymi spojrzzeniami nie ośmiewał się zdradzać przed królową. Nie żywił najmniejszej nadziei, że wzajemność królowej będzie mógł pozyskać, dumnym jednakże był z tego, że tak wysoko cel pragnień swoich

<sup>15</sup>niepomatu (daw.) — niemało. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]



umieścił, i cały ogniem miłości przenikniony, prześcigał wszystkich swoich towarzyszy w gorliwości i chęci przypodobania się swej pani. Dlatego też królowa, wyjeżdżając, zawsze chętnie dosiadała rumaka przez niego osiodłanego. Ilekroć się to zdarzyło, za łaskę najwyższą sobie to poczytywał. Nie oddalał się od jej strzemienia i za szczęśliwego się uważał, jeżeli mu się jej szat dotknąć udało.

Jak to jednak pospolicie bywa, im mniejsza jest nadzieja, tym silniejszym płomieniem miłość się pali; tak też się i stało z tym nieborakiem, masztalerzem. Nie był już mocen dłużej swojej skrytej namiętności znosić, żadną nadzieją krzepiony nie będąc; postanowił tedy<sup>17</sup> życia się pozbawić, bowiem wiedział, iż inaczej od tej miłości nie uciecze. Jednakże chciał wybrać taki śmierci rodzaj, aby zgon jego okazał jawnie, że zginął przez miłość, jaką do królowej żywił. Pragnął także przed śmiercią fortunę skusić i popróbować, zali mu się nie uda choćby w części celu swych pragnień osiągnąć.

Nie myślał wyznawać królowej miłości swojej lub na piśmie jej wyrażać, wiedział bowiem, że to na niczym by spelzło, postanowił jeno chytrego jakiegoś sposobu się chwycić, aby z królową jedną noc przepędzić. Nie było ku temu innego środka, jak za króla się przebrać (o którym wiedział, że nie zawsze nocą żonę odwiedza) i do komnaty sypialnej się dostać. To postanowiwszy, kilka nocy z rzędu spędził ukryty w wielkiej sali zamkowej, która znajdowała się między komnatami króla a królowej, i starał się podpatrzeć, jak i w jakim stroju król do małżonki zwykł przybywać. Pewnej nocy obaczył wreszcie króla, który wyszedł z swojej komnaty, owinięty w szeroki płaszcz, trzymając w jednej ręce zapalony ogarek, a w drugiej łaskę. Król zbliżył się w milczeniu do drzwi komnaty królowej i zastukał do nich raz czy dwa razy swoją łaską. Na to otwarły się natychmiast drzwi i królowi świecę z rąk odebrano.

Zauważywszy tedy sposób wejścia, a potem wyjścia króla, postanowił masztalerz swego pana jak najściślej naśladować. W tym celu postarał się o płaszcz podobny do tego, jaki król nosił, o ogarek i łaskę, wykapał się należycie, aby się zapachem stajennym nie zdradzić, i znów w wielkiej sali zamkowej się ukrył. Upewniwszy się, że wszyscy twardym snem są zmorzoni i że sposobna chwila na to nastąpi, aby albo swoje pragnienia uskutecznić, albo też godną drogę do śmierci znaleźć, skrzesał przy pomocy hubki, co ją miał przy sobie, trochę ognia, zapalił ogarek i otuliwszy się szczelnie w płaszcz, podszedł do drzwi, w które dwa razy łaską uderzył. Zaspana pokojowa otworzyła mu je i odebrawszy świecę z jego rąk, zagasiła ją. Wówczas masztalerz, nie mówiąc ani słowa, wszedł za kotarę wiszącą koło łóża, zdjął płaszcz i wstąpił do łóżnicy, w której królowa spała. Wiedząc, że król, gdy jest czymś pomieszany albo wzburzony, ma obyczaj ściśle zachowywać milczenie, nie pozwalając mówić do się, udawał niepokój i nie rzekł ani jednego słowa, jeno królowę w ramiona pochwyił i kilka razy cielesnie ją poznał. I aczkolwiek żał mu było odchodzić, przecie obawiając się, aby zbyt słodczye w męki się nie przemieniły, podniósł się wreszcie, wziął płaszcz i świecę i nie ozwawszy się ani słowem, do swojej izby się udał. Za ledwie jednak leżał w swej pościeli, gdy król udał się do komnaty królowej. Królowa wielce się z tego zadziwiła. Gdy się obok niej położył i wesoło ją powitał, rzekła do niego, uprzejmością tą ośmielona:

— Cóż to za nowy obyczaj macie tej nocy, panie mój i małżonku? Ledwieście wyszli ode mnie, zażywszy rozkoszy ponad zwykłą miarę, a już powracacie znowu? Zważcie, co czynicie!

Król, słowa te usłyszawszy, dorozumiał się od razu, że ktoś oszukał królowę dzięki podobieństwu stroju i powierzchowności. Jednak, jako człek mądry, zauważywszy, że ani królowa, ani nikt inny podejścia nie spostrzegł, sam go nie chciał odkrywać. Iluż znalazłoby się głupców, którzy w podobnej okoliczności zaraz by wołać jęli: »Ja tutaj nie byłem! Któż więc mógł być? I co tu robił? I jak się tu mógł dostać?«. Siła przykrości z tego by wynikło, królowa zaś, bez potrzeby niepokojona, miałaby może pobudkę do spróbowania drugi raz tego, czego już raz pokosztowała; i gdy milczenie żadnej ujmy przynieść mu nie mogło, sam by się do hańby własnej przyczynił, rzecz tę jawną czyniąc.

— Zali mniemasz, moja żono, że nie mam dość męskości w sobie na to, aby dwa razy w ciągu nocy cię odwiedzić, a i później jeszcze powrócić? — rzekł król, bardziej zmieszany w duchu niżli w słowach albo na obliczu.

<sup>17</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

— Przeciwnie, panie mój — odparła królowa — proszę cię jednak, abyś na zdrowie swoje zważał.

Wówczas król rzekł:

— Posłucham więc dzisiaj twojej rady i więcej cię dręczyć nie będę.

To rzekłszy, płonąć gniewem i żądzą pomsty za wyrządzoną mu zniewagę, narzucił na się płaszcz i opuścił komnatę, z zamysłem odszukania po cichu winowajcy, bowiem ten, według jego mniemania, musiał do dworu należeć i żadną miarą nie mógł się jeszcze z zamku wydostać. Zażęgłszy<sup>18</sup> tedy światło w małej latarce, wszedł na długi korytarz, znajdujący się nad stajnią, w którym prawie cała służba spała. Będąc zaś przekonany, że temu, co owo plugastwo uczynił, puls i serce jeszcze po wysileniu uspokoić się nie mogły, jął<sup>19</sup> każdemu śpiącemu z kolei piersi ostrożnie dotykać, aby bicie jego serca wy badać. Wszyscy krzepkim snem już byli zmożeni krom<sup>20</sup> owego masztalerza. Ów, obaczywszy króla, odgadł od razu, czego jego pan szuka. Z trwogi serce jego — i tak ze zmęczenia niespokojne — jeszcze silniej walić poczęło. Sądził, że jeśli król to spostrzeże, ani chybi na śmierć go skaze. Tysiące myśli przemknęło mu przez głowę, wreszcie, widząc, że król przy sobie broni nie ma, postanowił udać śpiącego i czekać, co król uczyni. Tymczasem król obmacał już wielu śpiących, bez tego jednak, aby znalazł, czego mu było trza; w końcu, doszedłszy do owego masztalerza, poczuł uderzenia jego serca i rzekł sam do siebie: »To ten!...«.

Nie chcąc jednak, aby ktokolwiek dowiedział się o jego przedsięwzięciu, poprzestał na tym, że nożycami, które miał przy sobie, obciął mu z jednej strony trochę włosów (w owych czasach bardzo je długie noszono), aby nazajutrz rano móc winowajcę po tym znaku szczególnym rozpoznać, i natychmiast do komnat swoich powrócił.

Masztalerz czuł doskonale, co król z nim robi, i natychmiast, dzięki swemu przyrodzonemu sprytowi, dorozumiał się, do czego te postrzyżyny zmierzać miały. Dlatego też podniósł się śpiesznie z pościeli i znalazłszy nożyce stajenne, do strzyżenia grzyw końskich przeznaczone, powystrzygał ostrożnie wszystkim śpiącym pukle włosów nad uszami. To uczyniwszy, do swego łóża powrócił.

Na drugi dzień rano, nim jeszcze bramy zamkowe otwarto, król przykazał całej służbie dworskiej przed sobą się stawić. Gdy zaś wszyscy się zebrali i z odkrytymi głowami przed nim stanęli, spojrzal na nich bystro, chcąc odszukać tego, co był przezeń postrzyżony. Aliści, ujrzawszy wielką ilość głów tak samo ostrzyżonych, niepomiernie zadziwił się i rzekł do się: »Ów, którego szukam, aczkolwiek z podłego pochodzi stanu, niemało ma przecie roztropności«.

Po czym rozważył, że bez tego, aby sprawa się rozgłosiła, winowajcy nie znajdzie. Nie chcąc dla małej pomsty wielkiej sobie hańby przyczynić, postanowił winowajcę jednym słowem napomnieć i pokazać mu, że o wszystkim jest dobrze uwiadomiony.

Obróciwszy się zatem do dworskich, rzekł:

— Niechaj ten, co to uczynił, drugi raz już nie ma do podobnego uczynku śmiałości. Teraz zasię<sup>21</sup> idźcie z Bogiem.

Ktoś inny na miejscu króla kazałby służbę łamać kołem, brać ją na różne pytki, badać ją i wymuszać zeznania, tym kształtem podałby na jaśnię to, co ze wszech miar w zakryciu pozostać by było winno. Znalazłszy w końcu winnego i zemstę swoją nasyciwszy, nie zmyłby przez to z siebie hańby, przeciwnie, jeszcze by ją zwiększył, a do tego i żonę osławiał.

Ci, którzy słowa jego słyszeli, zadziwieni, długo się nad nimi głowili, skrytego ich znaczenia pojąć nie mogąc.

Zrozumiał je jeno ten, kogo dotyczyły.

Masztalerz miał dość rozumu na to, aby za życia króla z tajemnicą swoją nigdy się nie zdradzać, a także już na podobne azardy<sup>22</sup> więcej się nie ważyć”.

<sup>18</sup>zażęgłszy — zapaliwszy. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>azard (daw.) — niebezpieczeństwo, ryzyko; por.: hazard. [przypis edytorski]

## OPOWIEŚĆ TRZECIA. SPOWIEDŹ

*Pod pokrywką spowiedzi i swej wrzekomo urażonej cnoty dama, rozmiłowana w młodzieńcu, pewnego surowego mnicha, nic nie podejrzewającego, k'temu przywodzi, aby dopomógł jej do skutecznienia miłosnych zamysłów.*

Gdy Pampinea umilkła, wszyscy niemal wyrazili podziwienie swoje nad odwagą i sprytem masztalerza, a także nad roztropnością króla; za czym królowa, obróciwszy się do Filomeny, jej dalej opowiadać kazała. Wdzięczna Filomena w te słowa zaczęła:

— Zamierzam opowiedzieć wam o chytrym figlu, który pewna piękna dama surowemu mnichowi wypłatała. Taka sztuczka musi przypaść do smaku każdemu świeckiemu człowiekowi, bowiem ci nieokrzesani po większej części i głupi mnisi, dziwnych jakichś obyczajów przestrzegający, wystawiają sobie, że więcej od wszystkich znaczą i umieją, gdy tymczasem w samej rzeczy wiedzą niewiele albo i nic wcale. Dla tępości<sup>23</sup> i gnuśności umysłu nie umiając tak się krzątać koło dobra swego jak inni ludzie, węższą jedynie, niby wieprze, gdzie by się do syta nazreć mogli. Opowiem wam tę historię nie tylko dlatego, że kolej na mnie przysła, ale aby pokazać wam, że mnichy, którym we wszystkim wierzymy i zbytnią ufność im okazujemy, mogą być łatwo nie tylko przez mężczyzn, ale czasem i przez nas, kobiety, na hak przywiedzeni.

„W naszym mieście, gdzie kłamstwa i oszustwa daleko więcej znaleźć można niżli miłości i wierności, żyła przed kilkunastu laty pewna znakomita dama, uposażona od natury wielką urodą, obyczajnością, wysokim umysłem i dowcipem bystrzejszym niż dowcip białogłów. Znam jej imię, tak jak i imiona tych, co do tej opowieści należą, nie będą jednak imion tych wyjawiała, bowiem ci, którzy je noszą, żyją jeszcze; mogliby tedy<sup>24</sup> łatwie gniewem się zapalić, gdy tymczasem, mówiąc po prawdzie, wszystko to jedynie śmiechu jest warte.

Owa dama, ze znacznego rodu idąca, oddana została za żonę prostemu tkaczowi. Nigdy jednakowoż nie mogła się pogodzić z myślą, że jej mąż jest zwykłym rzemieślnikiem, mniemała bowiem, że człek podlej kondycji, choćby i nie wiem jak był bogatym, nie jest godzien białogłowy dobrze urodzonej.

Widząc zaś, że jej mąż przy całym swoim bogactwie tylko przędzę motać, nici sposobne wybierać i z prządkami kłócić się potrafi, postanowiła pieszczot jego, o ile możliwości, unikać i znaleźć sobie nieodwłocznie jakiegoś kochanka, godniejszego jej niżli prosty tkacz. Wkrótce rozmiłowała się w pewnym zacnym szlachcicu średnich lat, i to tak okrutnie, że gdy tylko jakiegoś dnia go nie widziała, następnej nocy od dusznego strapienia wcale spać nie mogła. Ów zaś, niczego się nie domyślając, wcale o nią nie dbał. Dama była zbyt ostrożna na to, aby poselstwami lub listami wysyłanymi do niego na możliwe niebezpieczeństwo się narażać. Uznawszy, że szlachcic w bliskiej przyjaźni pozostaje z pewnym grubym i krągłym mnichem, który dla swego świątobliwego życia powszechną czią się cieszył, zamyśliła natychmiast mnicha tego za pośrednika użyć. Dobrze wszystko w umyśle ułożywszy i stosowną chwilę wybrawszy, udała się do kościoła, przy którym mnich przemieszkiwał, i wyraziła mu życzenie wyspowiadania się. Braciszek poznał od razu, że ze szlachetną damą ma do czynienia, dlatego też chętnie jej spowiedzi wysłuchał. Wyspowiadawszy się, białogłowa rzekła:

— Pragnę, wielbny ojcze, do was po radę i po pomoc się udać. Wiadome mi jest, że znacie dobrze moją rodzinę i mego męża, który miłuje mnie bardziej niż życie własne; jako człek wielce bogaty, spełnia on każde moje życzenie, za co kocham go bardziej niż żywot własny. Gdybym zdalna się okazała do najmniejszej myśli (nie mówię już o uczynku), która by jego dobrą cześć na szwank przywieść miała, więcej bym na stos zasłużyła niż jakakolwiek inna występna białogłowa. Tymczasem od niedawnego czasu pewien człek, nie znany mi z nazwiska, ale zdający się być znacznego stanu, a przy tym, o ile się nie myślę, wasz dobry znajomy, nie wiedząc widocznie o moim niezmiennym postanowieniu, w prawdziwym oblężeniu mnie trzyma. Jest to mąż okazałej postaci, wielce urodziwy i ubrany w wytworne szaty brunatnej barwy. Nie mogę się pokazać w drzwiach, u okna

<sup>23</sup>dla tępości (daw.) — z powodu tępoty. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

ani na ulicę wyjść bez tego, aby się nań nie natknąć. Samo przez się zrozumiałe jest, że są to dla mnie rzeczy nieznośne, bowiem, jak to nierzadko bywa, rzucić one mogą, bez żadnej winy z mojej strony, cień na moją cześć i cnotę. Przychodziło mi już nieraz do głowy powiedzieć o wszystkim moim braciom, aby mu stosowną odprawę dali, ale wstrzymała mnie myśl, że mężczyźni w podobnych okolicznościach łatwie<sup>25</sup> do kłótni przyjść mogą, a później od słowa do słowa i do bitki. Chcąc więc zła i osławy uniknąć, wszystko milczeniem pokrywałam, póki do tej myśli nie przyszłam, aby wam strapienia swoje wynurzyć, już to ponieważ zdajecie się żyć w przyjaźni z owym mężem, a także i dla tej przyczyny, że wam więcej niż każdemu innemu przystoi nie tylko przyjaciół, ale i nieznanym za podobne sprawy naganiać<sup>26</sup>. Błagam was więc, w imię miłości Boga, wytknijcie mu jego postępowanie i nakażcie mu, aby je na przyszłość odmienił. Mało li na świecie kobiet nakłonionych k'temu<sup>27</sup> i gotowych za podobne zachody hojnie wynagradzać? Takie przymilania, dla drugich ponętne, we mnie tylko najżywszy wstręt budzą.

Rzekłszy to, opuściła na piersi głowę, jakby gorzko zapłakać pragnęła.

Świątobliwy braciszek dorozumiał się od razu, kogo na myśli miała, uwierzył we wszystkie jej słowa, pochwalił ją za jej zacne postanowienie i przyrzekł, że sprawę tym trybem powie, by szlachcic na przyszłość już jej niepokoić się nie ośmielał. Wiedząc zasię<sup>28</sup>, że jest to białogłowa bogata, zaraz wspomniął o dziełach miłosierdzia, o pomocy bliźniemu i o swoich potrzebach. Na to dama odparła:

— Zaklinam was, ojcze, w imię Boga, abyście obietnicy swojej dopełnili. Gdyby zasię ów szlachcic chciał się zapierać, rzeknijcie mu po prostu, że ja to wszystko wam wyjawiam, skarżąc się na niego przed wami.

Skończywszy spowiedź i odpuszczenie grzechów otrzymałszy, dama przypomniawszy sobie słowa mnicha o miłosiernych uczynkach i miłości bliźniego, dlatego też wsunęła mu ukradkiem pieniądze do ręki, prosząc, aby msze za jej umarłych krewniaków odprawiał. Później podniosła się i do domu odeszła.

Wkrótce szlachcic przybył w odwiedziny do mnicha, jak to często miał w obyczaju czynić. Gdy już o tym i o owym pogadali, mnich odciągnął swego gościa na stronę i w słowach przyjaznych napomniął go za owe zaloty i rozkochane spojrzenia, którymi damę przesładuje.

Szlachcic z początku srodze się zadziwił, bowiem ani mu to w głowie powstało patrzeć na nią, rzadko zresztą koło jej domu przechodził. Jął tedy niewinności swej dowodzić.

— Nie udawaj takiego zadziwienia ani nie staraj się po próżnicy słów na zaprzeczenie tracić — rzekł mnich, nie dopuszczając go do słowa. — Uznałem o tym nie od sąsiadów; zważ, że sama mi o wszystkim opowiedziała, żaląc się gorzko na ciebie. Takie błażeństwa tobie nie przystoją, przy tym rzeknę ci, że jeśli jest na świecie białogłowa, której podobne przymilania są przeciwne, to jest nią ona właśnie. Dlatego też przez wzgląd na cześć twoją i jej spokojność proszę cię, zaprzestań ją napastować.

Szlachcic, bystrzejszym umysłem niżli świątobliwy braciszek obdarzony, przeniknął od razu istotny zamiar białogłowy, udawszy więc niejaki zawstyżenie, przyrzekł, że już więcej zalecać się do tej kobiety nie będzie. Pożegnawszy się z mnichem, udał się nieodwłocznie do domu owej damy, która codziennie w małym okienku czatowała na jego pojawienie się. Toteż gdy go ujrziała, tak żywa radość odmalowała się na jej obliczu, że szlachcic przekonał się zaraz, iż pojął dobrze słowa braciszka. Od tego dnia poczynając, jął<sup>29</sup> się nieustannie po onej ulicy przechadzać, ku swemu wielkiemu ukontentowaniu i radości damy; zachowywał przy tym należną ostrożność i udawał, że różne sprawy go tu przywodzą.

Dama, upewniwszy się, że podoba mu się równie jak i on jej, zapragnęła bardziej go pobudzić i dać mu wyraźny dowód swych miłosnych chęci. W tym celu w stosownym czasie udała się znów do świątobliwego braciszka i usiadłszy w kościele u jego nóg, gorzko płakać poczęła. Zaczny mnich przenikniony litością zapytał, co się stało?

<sup>25</sup>łatwie — dziś popr. forma: łatwo. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>naganiać — tu: ganić. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>k'temu (daw.) — do tego. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>jąc (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

Dama odparła:

— Cóż by innego, ojciec wielbny, jak nie nowa przykrość ze strony tego przekłętego od Boga przyjaciela waszego, na którego przed kilku dniami żaliłam się. Jak mniemam, przyszedł na świat na moje udręczenie, aby pozbawić mnie szczęścia i uczynić tak, bym już nigdy nie ośmieliła się wam do nóg upaść.

— Jak to? — zawołał mnich — zali nie przestał was jeszcze napastować?

— Bynajmniej — odparła dama — poczynając od tej chwili, gdy się wam na niego uskarżałam, on, widząc przez przekorę i gniew na mnie, jął się przechadzać koło mego domu siedem razy częściej niż przedtem.

Gdyby tylko chodził i patrzył na mnie, pół biedy by z tym było, aliści<sup>30</sup> tak się rozuchwiali, że wczoraj przysłał do mnie z poselstwem od siebie jakąś kobietę, która mi wręczyła w podarunku sakiewkę i pas, tak jakbym mało miała swoich pasów i sakiewek. To mnie w taki gniew wprowadziło, że straszny bym gwałt podniosła, gdybym nie obawiała się przez to grzechu popełnić i wam przykrości wyrządzić. Pohamowałam się więc z wielkim trudem i postanowiłam nic nie przedsiębrać, póki was o wszystkim nie uwiadomię. Oddałam sakiewkę i pas owej kobiecie i precz jej z domu iść kazałam, ale później zważywszy, że mogłaby podarki te dla siebie zatrzymać, jemu zaś powiedzieć, że je przyjął, jak to ponoć dzieje się niekiedy, przywołałam ją z powrotem, że wstrętem z rąk jej przedmioty te odebrałam i przyniosłam je wam teraz, abyście mu je oddali i rzekli, że mi jego podarków nie potrzeba. Dzięki Bogu i szczodrości mego męża tyle mam sakiewek i pasów, że snadnie<sup>31</sup> bym go nimi zadusić mogła. Teraz zaś powiem wam, jako duchownemu ojcu, że jeśli ów szlachcic w spokoju mnie nie ostawi, poskarżę się moim braciom i mężowi. Niech wówczas będzie, co chce! Niechaj lepiej on ma za swoje, aniżeli ja miałabym z jego przyczyny być osławiona. Zaliż nieprawda, mój ojciec?

Rzekłszy to, płacząc w głos, wydobyła spod sukni wspaniałą sakiewkę i bogato haftowany pas i rzuciła je mnichowi na łono.

Ów, upewniony, że dama prawdę mówi, wziął te rzeczy z wielkim na obliczu pomieszaniami i rzekł:

— Wcale się nie dziwuję, moja córuchno, że się tym wszystkim turbujesz; nie tylko ganić cię za to nie będę, ale, przeciwnie, pochwalić cię muszę, że rad moich słuchasz. Niedawno napomniałem go ostro, aliści on źle obietnicę swoją zdzierzył<sup>32</sup>. Dlatego też za dawne plugastwa, do których nowe przydał, tak mu myślę uszu natrzeć, że mu raz na zawsze ochota do zalotów odejdzie. Ty zaś nie daj się unieść gniewu zapędem i nie wyjawiaj tych rzeczy swoim krewniakom, bowiem do czegoś gorszego jeszcze snadnie przyjść by mogło. Nie obawiaj się, aby cześć twoja jakiś uszczerbek przez to ponieść miała, ja bowiem będę zawsze, przed Bogiem i przed ludźmi, świadkiem twej uczciwości.

Dama udą, że te słowa nieco ją pocieszyły; skończywszy przeto mowę swoją, rzekła jeno, wiedząc dobrze o chciwości mnichów:

— Tej nocy zjawili mi się we śnie, świątobliwy ojciec, moi rodzice; zdawało mi się, że ciężkie katusze cierpią i że niczego tak nie ląkną jak jałmużny, a zwłaszcza matka moja, która tak zasmuconą i wynędzniałą mi się okazała, że aż litość brała patrzeć. Sądzę, że wielkiego strapienia przyczyniają jej te obierze<sup>33</sup>, w jakie mnie wtrącił ów wróg Pana Boga. Dlatego też proszę was, abyście odprawili za ich dusze czterdzieści mszy św. Grzegorza, a także pomodlili się do Boga tak, aby Stwórca od mąk ich wybawił.

Rzekłszy to, wsunęła mnichowi do ręki dukat złoty.

Mnich chciwie pieniądź pochwycił i w stosownych słowach mnogimi przykładami pobożność jej utwierdziwszy, z błogosławieństwem swym ją odpuścił.

Po czym, gdy odeszła, nie podejrzewając wcale, że na hak przywiedziony został, posłał po swego przyjaciela.

Ów, widząc, że mnich jest srodze zagniewany, zaraz dorozumiał się, że nowe wieści od swojej damy otrzyma. Czekał tedy<sup>34</sup>, co powie mu braciszek. Ten z gniewem wielkim powtórzył jeszcze raz wyrzuty swoje i zgromił go ostro za nowe przewiny, jakie, według

<sup>30</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>snadnie (daw.) — łatwo. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>zdzierzyć obietnicę — dotrzymać obietnicy. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>obierza (daw.) — sieć. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

słów damy, popełnił. Szlachcic, nie mogąc zrazu pojąć, ku czemu słowa mnicha zmierzają, starał się zaprzeczyć, że kiedykolwiek sakiewkę i pas jej posyłał, czynił to jednak niezdarnie, tak aby mnich nie zachwiał się w wierze, jakiej opowieści damy użył, jeśli to ona mu je wręczyła. Aliści braciszek rozjadował się nie na żarty i rzekł:

— Jakże możesz temu przeczyć, przewrotny człeczku! Patrzaj, te oto podarki sama mi z płaczem przyniosła. Zali będziesz śmiało twierdzić, że ich nie znasz?

Szlachcic, uczyniwszy pozór srodze zawstydzonego, rzekł:

— Trudno zatem, przyznaję, że te przedmioty należą do mnie i że źle postąpiłem; przysięgam jednak, że widząc ją w swym postanowieniu tak niezłomną, nigdy już jej nie dam powodu na skargę na mnie.

Długo go gromił mnich głupi jak baran, aż w końcu oddał mu pas i sakiewkę, nie omieszkawszy przedtem pouczyć go i zakląć, aby więcej podobnych rzeczy nie czynił. Szlachcic przyrzekł i pożegnawszy się z braciszkiem, uradowany niezmiernie, tak z dowodnej oznaki afektów tej damy, jak i jej bogatego podarunku, natychmiast udał się pod jej dom i oględnie pokazał jej, że już podarki otrzymał. Dama wielce z tego ukontentowana, cieszyła się, że sprawy coraz to lepszym idą torem. Od tej chwili czekała tylko na wyjazd męża, aby swe starania pomyślnym uwieńczyć skutkiem. Wkrótce zdarzyło się, że tkacz musiał się do Genui udać. Gdy tylko z rana wsiadł na koń, dama pośpieszyła do mnicha i rzekła płacząc rzewliwie:

— Mówię wam, świętobliwy ojcze, że dłużej już wytrzymać nie jestem w stanie. Ponieważ jednak obiecałam wam, że nic nie przedsięwzięję bez uprzedniego uwiadomienia was, tedy przychodzę, ażeby usprawiedliwić się przed wami. Abyście zaś poznali, że mam przyczynę gorzko płakać i użalać się, chcę wam opowiedzieć, co uczynił ten szatan wcielony z piekła rodem, wasz przyjaciel, nie dalej jak dziś z rana przed jutrznią. Bóg jeden wie, w jaki sposób zwęszył, że mąż mój wczora do Genui wyjechał. Dziś z rana zatem wszedł do mego ogrodu i wdrapał się na drzewo rosnące naprzeciw mojej komnaty, której okna na sad wychodzą. Już zdołał okno uchylić z tym zamysłem, aby do mojej sypialnej komnaty wtargnąć, gdy nagle ja, obudziwszy się, zerwałam się z łoża i już krzyknąć wielkim głosem chciałam, aliści ów niezbyty natrętnik jął mnie zaklinać w imię miłości Boga i przyjaźni waszej, abym zmilczała, a potem powiedział mi, kim jest. Nie czyniąc więc przez wzgląd na was najmniejszego hałasu, pobiegłam tak naga, jaką na świat przyszłam, aby okno mu zaprzeć przed nosem. Widocznie zaraz uciec musiał, bowiem już go więcej nie widziałam. Osądźcie sami, ojcze świętobliwy, zali to dalej cierpieć można? Co się mnie tyczy, to myślę temu raz wreszcie koniec położyć. Przez wzgląd na was zbyt wiele już od niego znieść musiałam.

Usłyszawszy te słowa mnich wpadł w gniew niezmierny i nie wiedział już sam, co rzecz ma, pytał tylko raz po raz, zali pewna jest; że był to ów właśnie szlachcic, a nie jakiś inny zalotnik.

— O wielkie nieba! — zawołała białogłowa — zaliż go od innego odróżnić nie potrafisz? Mówię wam, że to on był; jeśliby starał się zaprzeczać, nie dawajcie mu wiary.

— Nic innego powiedzieć nie lza<sup>35</sup>, moja córko — powiedział mnich — jak jeno<sup>36</sup> to, że jest to zuchwalstwo niepomierne i postępek plugawy; uczyniłaś, jak się należało, precz go przeganiając. Proszę cię jeno (skoro Bóg cię od wstydu ochronił!), abys jeszcze raz za moją radą poszła i nie żałując się przed krewniakami, mnie działać pozwoliła. Spróbuję, czy mi się nie da okiełznać tego wcielonego diabła, o którym sądziłem, że jest świętym człekiem. Jeżeli mi się uda bydlęce jego przyrodzenie<sup>37</sup> zwyciężyć, wszystko dobrze się zakończy, jeżeli zaś niemożliwe się to okaże, to daję ci obecnie wraz z błogosławieństwem słowo najświętsze, że pozwolę ci czynić z nim, co ci się podoba.

— Na ten raz jeszcze nie chcę wam turbacji przyczyniać i nieposłuszeństwa okazywać — rzekła białogłowa — postarajcie się jeno tak wszystko uładzić, aby mnie więcej nie przesładował, wówczas i ja przestanę was tą sprawą zanudzać.

Rzekłszy to, udała, że jest srodze gniewną, i do domu odeszła.

Zaledwie się od kościoła oddaliła, gdy u mnicha szlachcic się zjawił. Braciszek odciągnął go na stronę i wysypał mu na głowę wór najgorszych łajañ i przekleństw, nazywając

<sup>35</sup>nie lza (daw.) — tu: nie można. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>przyrodzenie (daw.) — tu: natura. [przypis edytorski]

go w grubych słowach nikczemnikiem, krzywoprzysięcą i zdrajcą. Szlachcic, który już z dwóch eksperyj<sup>38</sup> dobrze wiedział, jaki jest powód tych grubiańskich wymysłów, uważnie słuchał z początku, a później niejasnymi słowy starał się od mnicha jakąś wiadomość wydobyć.

— Co znaczy ten gniew, wielbny ojcie — zapytał — zaliżem<sup>39</sup> Chrystusa ukrzyżowa-

wał?  
— Ha, ty bezwstydniku! — zawołał mnich — spójrzcie na niego, mówi o tym tak spokojnie, jakby już rok albo i dwa minęły od tej pory, gdy tyle łotrstw popełnił. Wiedocześnie już się mu w pamięci zatrzeć zdołały. Już o tej rannej porze zapomniawszy, żeś dziś przed jutrznią bliźniego ciężko pokrzywdził? Gdzieżeś był dzisiaj o świecie?

— Nie wiem, gdzie byłem — odparł szlachcic — ale kiedy macie tak chyżych posłów, to wy o tym wiedzieć musicie.

— Tak, uznałem o tym — rzekł mnich. — Widać myślałeś, że w czasie gdy mąż przytomny<sup>40</sup> nie jest, cnotliwa białogłowa rzuci ci się zaraz na szyję. Oto mi czcigodny człek, ani słowa! Włóczy się po nocy po cudzych sadach i na drzewa się wdrapuje! Zali sądziłeś, że łatwiej opór tej zbożnej niewiasty przemożesz, wybrawszy sobie nocą drogę przez drzewo do jej okna? Przekonałeś się już, że jesteś jej bardziej obmierzły niż ktokolwiek bądź inny na świecie, a jednak ciągle ją napastujesz. Wiele razy ona ci swą wzgardę jawnie okazała, o tym mówić nie będę, aliści<sup>41</sup> czy o moje przestrogi i napomnienia nie dbasz wcale? Posłuchaj teraz, co ci powiem. Dotychczas milczeniem twoje niecnoty pokrywała, oczywiście, nie z miłości do ciebie, lecz ze względu na prośby moje. Ale już na przyszłość nie będzie milczała; dałem jej bowiem zupełną wolność postępowania, jeżeli znowu dręczyć się ją odważysz. Co się stanie z tobą, jeżeli się swoim braciom poskarży?

Szczęśliwy kochanek dowiedział się z tych słów wszystkiego, czego mu było trza. Nie tracąc czasu, pożegnał się z mnichem, przyrzekłszy mu, jak umiał najlepiej, że jego przestrogi będzie miał na uwadze. Następnej nocy, przed jutrznią, zakradł się do sadu, wdrapał się na drzewo i znalazłszy okno otworem stojące, wszedł do komnaty i jak mógł najszybciej rzucił się w objęcia swojej damy.

Białogłowa dawno czekała nań z wielką tęskliwością. Ujrzawszy go rzekła ze śmiechem:

— Niech będzie błogosławiony ów ojciec wielbny, który ci tak dobrze drogę do mnie pokazał!

Po czym pograżyli się w rozkoszy. Długo miłosne harce czynili, śmiejąc się i żartując z głupoty świątobliwego braciszka, a także z kólek, grzebieni i innych narzędzi tkackich. Potem umówiwszy się, jak im działać należy, nie uciekając się do pośrednictwa mnicha, wiele podobnych nocy w weselu spędzili. Niech Bóg w nieskończonym miłosierdziu swoim rychło mnie i inne dusze chrześcijańskie takimi rozkosznymi nocami obdarzy!"

Modlitwa, Rozkosz

## OPOWIEŚĆ CZWARTA. DROGA DO RAJU

*Don Felice poucza brata Puccia, jak ma drogą pokuty zbawienia dostąpić. Brat Puccio pokutę odprawia, a mnich tymczasem z jego żoną miłosne igraszki czyni.*

Gdy Filomena, opowiedziawszy swoją historię, zamilkła, Dioneo stosownymi słowy pochwalił wielce bystrość dowcipu białogłowy, a także i Filomeny modlitewne westchnienie przy końcu. Królowa, spojrzawszy z uśmiechem na Panfila, rzekła doń:

— Teraz ty, Panfilo, uracz nas jakąś wesołą opowieścią.

Panfilo oświadczył gotowość swoją i tak zaczął:

— Siła jest takich ludzi, co to nie szcędząc wysiłków, aby się do rajy dostać, nie spostrzegają, że wprowadzają tam, miast<sup>42</sup> siebie, innego; tak właśnie rzecz się miała niedawno z jedną naszą rodaczką, o czym wam zaraz opowiem.

<sup>38</sup>eksperyjencja (daw.) — doświadczenie. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>zaliżem ukrzyżował — czy ukrzyżowałem (konstrukcja z przestawną końcówką czasownika i daw. zaimkiem pytajnym zali). [przypis edytorski]

<sup>40</sup>przytomny (daw.) — tu: obecny. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>aliści (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>miast (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]



„Według tego, co słyszałem, niedaleko od San Brancazio mieszkał pewien poczciwy i bogaty człek, Pucciem di Rinieri zwany, który, nabożnym będąc, wkrótce sprawom zbawienia całkiem się oddał, stał się tercjarzem w zakonie św. Franciszka i bratem Puccio zwać się począł. Ponieważ żadnej rodziny nie miał, a cały dom jego składał się jeno<sup>43</sup> z żony i jednej służącej, więc zbytnich trosk nie zaznając, mógł skłonności swojej zadośćuczynić i cały wolny czas w kościele spędzać. Jako człek gruby i na umyśle tępym, klepał modlitwy, na kazania chodził, godzinki pilnie śpiewał, pościł, umartwiał się i mszy słuchał, a jak słuchy chodziły, także do liczby biczowników należał. Żona jego, madonną Isabetą zwaną, młoda jeszcze białogłowa, około trzydziestu lat licząca, była osobą piękną, świeżą i krągłą jak jabłuszko. Z przyczyny zbytniej nabożności męża, a także podeszłych lat jego musiała nieraz zachowywać dłuższy post, aniżeli by tego pragnęła. Gdy chciała już spać albo może harce z mężem swym czynić, ów opowiadał jej o życiu Chrystusa, o pokucie Magdaleny lub o kazaniach brata Anastazego.

W owym czasie powrócił z Paryża pewien mnich, należący do klasztoru w San Brancazio, don Felice zwany. Był to człek młody, wielce urodziwy, a do tego bystry i głęboko uczony. Brat Puccio zaraz z nim w stosunek bliskiej przyjaźni wstąpił. Mnich rozwiązywał jak najlepiej wszystkie jego wątpliwości, a poznawszy jego naturę, zapragnął wydać mu się człkiem świętobliwym. Brat Puccio wprowadził go do domu swego i nieraz go na wieczere zapraszał. Także i żona jego, dla miłości męża, chętnie czyniła honory gościowi, rychło się z nim oswoiwszy. Don Felice, ujrawszy urodziwą i pulchną białogłową, dorozumiał się zaraz, czego jej brakować musi, dlatego też postanowił, o ile tylko zdoła, uwolnić brata Puccia od trudu i wziąć go na barki własne. Jął więc śmiało rzucać na młodą białogłową znaczące spojrzenia i przyłożywszy się pilnie do dzieła, tyle sprawił, że podobną żądzę do tej, jaką sam uczuwał, i w niej zapalił. Spozrzegłszy to skorzystał z pierwszej nadarzonej sposobności, aby się z żoną brata Puccia wedle swej woli porozumieć. Chociaż znalazł ją gotową przywieść rzecz całą do końca, przecie nie mógł się tego od niej dobić, aby mu naznaczyła spotkanie gdzieś poza swoim domem. W domu zaś niepodobna było nic uczynić, brat Puccio bowiem nie zwykł był nigdy wyjeżdżać. Wszystko to wielce mnicha martwiło. Wreszcie przyszedł mu do głowy fortel, dzięki któremu spodziewał się, że będzie się mógł cieszyć do woli wdziękami Isabetty w jej domu bez obudzenia podejrzeń w duszy brata Puccia.

Pewnego razu, gdy brat Puccio go odwiedził, rzekł doń:

— Już nieraz spostrzegłem, bracie Puccio, że jedno tylko pragnienie żywicie: zbawienia dostąpić. Zdaje mi się jednak, że zbyt długą drogą do tego celu zmierzacie. Przecie istnieje i inna droga, znacznie krótsza, którą kroczy papież i wysocy dostojnicy Kościoła. Co prawda, nie chcą oni drogi tej ludziom ukazywać, bowiem stan duchowny, żyjący z jałmużny wiernych za wskazywanie im ścieżki do nieba, wielce by na tym ucierpiał. Ponieważ jednak jesteście moim przyjacielem, dla którego wiele wdzięczności za okazywane mi względy żywię, dlatego też odkryję wam tajemnicę, jeśli chcecie pójść za tym wskazaniem, a nikomu na świecie go nie zdradzicie.

Brat Puccio, pełen ciekawości, jął<sup>44</sup> go prosić i nastawać na niego, aby mu wskazówek potrzebnych udzielił, zaręczając i klnąc się na wszystkie świętości, że nikomu o tym ani słowa nie powie i że sam zaraz drogi tej spróbuje, o ile tylko sił mu stanie<sup>45</sup>.

— Dobrze więc — odparł mnich — skoro mi tak uroczyście milczeć przyrzekacie, dam wam stosowne pouczenie. Wiedzieć wam należy, iż ojcowie Kościoła twierdzą, że ten, kto chce zbawienia dostąpić, winien następującą pokutę odbywać. Zrozumcie mnie jednak dobrze! Nie twierdzą ja, że po tej pokucie zupełnie grzesznikiem być przestaniecie, ale jeno, że wszystkie winy popełnione do chwili pokuty, odpuszczone wam zostaną. Te błędy zaś<sup>46</sup>, w które popadniecie po jej odprawieniu, nie będą wam policzone ku potępieniu, przeciwnie, jak grzech powszedni, odrobiną wody święconej zmyć się dadzą.

Przed wszystkim więc, chcąc odprawić pokutę, musicie się szczerze i należyście wyspowiadać, później zaś należy zacząć post i życie wstrzemięźliwe, które ma trwać dni czterdzieści; w tym czasie nie wolno wam tknąć swojej żony, a tym bardziej żadnej innej

<sup>43</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>jął (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>o ile sił mu stanie (daw.) — o ile sił mu starczy. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

białogłowy. Krom tego musicie znaleźć w swoim domu miejsce odosobnione, gdzie pozostając, moglibyście przez całą noc w gwiaździste niebo się wpatrywać. Udacie się tam późnym wieczorem i narychtujecie sobie długi stół, tak wysoki, abyście stojąc, lędźwiami o niego opierać się mogli. Położycie na stół swoje ramiona, przyjmując postawę Ukrzyżowanego, możecie się przy tym rękoma za dwa kołki uchwycić. W tej postawie, patrząc w niebo i najmniejszego poruszenia nie czyniąc, pozostaniecie aż do jutrzni. Gdybyście byli uczeni w piśmie, dałbym wam modlitwy, które w czasie pokuty odmawiać należy, ponieważ jednak czytać nie umiecie, musicie tedy<sup>47</sup> odmówić trzysta razy *Zdrowaś Maryja* i tyleż razy *Ojcie nasz*. Przez cały ten czas będziecie patrzyli w niebo i nieustannie myśleli o tym, że Bóg stworzył ziemię i niebo, uprzytomniając sobie również mękę Zbawiciela. Gdy na jutrznię zadzwonią, ojdziecie i jeśli wola, rzucicie się w ubraniu na łożo i zaśnięcie. Rankiem musicie jeszcze udać się do kościoła, wysłuchać trzech mszy i odmówić pięćdziesiąt *Ojcie nasz* i tyleż *Zdrowaś Maryja*. Potem wolno wam będzie zająć się swymi sprawami i obiad zjeść. Jednakże w porze niesporów znowu powinniście pójść do kościoła i tam odmówić kilka pacierzy, których was zaraz nauczę, a bez których obejść się nie lza<sup>48</sup>. Za nadejściem wieczoru od nowa pokutę rozpoczniecie.

Ja sam kiedyś wszystko to czyniłem, dlatego też jestem upewniony, że zanim do końca pokuty dojdziecie, uczujecie rozkosz wiecznego zbawienia.

— Praktyki te nie wydają mi się zbyt uciążliwe i długotrwałe — odparł brat Puccio — i myślę, że im łatwo sprostam; z pomocą boską zacznę pokutę jeszcze w tę niedzielę.

Przyszedłszy do domu opowiedział o wszystkim, za zezwoleniem mnicha, swojej żonie. Ta dorozumiała się zaraz, w jakim celu mnich rozkazał mu, nie drgnąwszy, przez całą noc pokutować. Znalazłszy ten fortel wcale udatnym, rzekła, że wielce rada będzie zawsze z wszystkiego, co on za użyteczne dla zbawienia duszy swojej uzna. Żeby zaś Bóg łaskawie tę jego pokutę przyjął, gotowa jest z mężem post podzielić, innych prywaty na się biorąc.

Gdy nadeszła niedziela, brat Puccio pokutę swoją rozpoczął, mnich zaś, ułożywszy się z Isabetą, prawie każdego wieczora do niej się zakradał, nie będąc przez nikogo widziany. Przynosił z sobą przednie potrawy i wina; po spożyciu wieczerzy kładli się do łoża i figlowali aż do jutrzni; o tej godzinie mnich odchodził, a brat Puccio do łoża powracał. Ponieważ jednak miejsce pokuty brata Puccia oddzielone było tylko cienkim przepierzeniem od komnaty jego małżonki, zdarzyło się tedy, że gdy mnich zbyt tego panią Isabetę tarosił, zdało się pokutnikowi, że trzeszczą wszystkie krokwie w komnacie. Odmówił już był sto ojczenaszów, a gdy do sto pierwszego miał się zabierać, zapytał:

— Na miłość boską, moja żono, co tobą tak rzuca?

Wielce żartobliwa białogłowa, która zapewne dosiadała właśnie rumaka świętego Benedykta czy świętego Jana Gwalberta, odparła:

— Na mą duszę, mężu drogi, przewracam się, jak tylko mogę!

— Jak to przewracasz się? Co chcesz powiedzieć przez to?

— Jakże się możesz jeszcze pytać o to? — odrzekła Isabetta, ledwo hamując się od śmiechu (a było, wierę<sup>49</sup>, śmiać się z czego). — Zaliżem cię nie słyszała mówiącego tysiąc razy: „Kto się cały dzień przepości, nie ma w nocy spokojności”.

Brat Puccio, uwierzywszy, że żona wskutek długiego postu zasnąć nie może i dlatego tak na łożu się przewraca, rzekł do niej dobrodusznie:

— Prosiłem cię nieraz, żono, abyś postów zaniechała, aleś nie chciała mnie posłuchać. Proszę cię, nie myśl już o tym, staraj się teraz zasnąć, bowiem tak się na łożu rzucasz, że je całe na drzazgi porozbijasz.

— Nie troskaj się o to, miły mężu — odparła białogłowa — wiem, co czynię. Bacz na siebie, abyś dobrze czynił, ja zaś w miarę sił moich będę się starała, aby jeszcze lepiej czynić.

Puccio zamilkł i znowu do modlitw swoich przystąpił. Isabetta i mnich jeszcze tej nocy w innej części domu narychtowali sobie łożo, w którym z radością harcowali w czasie pokuty brata Puccia. O jutrzni mnich wychodził, białogłowa do małżeńskiej łożnicy powracała, a wkrótce i brat Puccio przybywał. Gdy więc brat tym kształtem pokutę

<sup>47</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>nie lza (daw.) — nie można. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

odprawiał, a żona jego z towarzyszem zabawiali się mile, Isabetta nieraz żartobliwie do mnicha mawiała:

— Zadałeś mężowi pokutę, dzięki której my już rajy zażywamy.

Isabetta tak przywykła i tak zasmakowała w strawie, którą ją mnich obdarzał (trza wiedzieć, że mąż od dawna w poście ją trzymał), że nim pokuta brata Puccia do końca dobiegła, znalazła sposób pożywiania się poza domem. Folgowała zatem swoim chuciom w tajności i bez przeszkód.

Zważcie, że ostatnie słowa mojej opowieści wcale pierwszym nie przeczą, brat Puccio bowiem, mniemając, że przez ciężką pokutę dostanie się do rajy, pokazał doń drogę mnichowi i żonie swojej, która w nieustannej potrzebie żyła, póki się nad nią szczerdy mnich nie ulitował”.

## OPOWIEŚĆ PIĄTA. KOŃ I ŻONA

*Strojniś czyni ze swego rumaka dar dla messera Franceska Vergellesi. Za to wolno mu jest rozmawiać z żoną pana Franceska. Ponieważ dama milczy, więc Strojniś odpowiada za nią. Później zaś dzieje się wszystko według jego odpowiedzi.*

Swoją opowieść o bracie Puccio zakończył Panfilo przy ogólnym śmiechu dam. Następnie królowa obróciła się do Elizy i rzekła, że na nią kolej przypada.

Eliza mówić zaczęła trochę drwiąco, nie tyle ze złośliwości, co z długiego nawyku:

— Wiele ludzi dużo wiedzących mniema, że krom<sup>50</sup> nich nikt nic wiedzieć nie może. Ale często pragnąc innych wyprowadzić w pole, przyznać muszą, że sami zostali na hak przywiedzeni. Dlatego też jestem przekonana, że nie należy bez potrzeby siły umysłu innych na próbę wystawiać. Że jednak może nie wszyscy z was są podobnego zdania, opowiem wam, co się zdarzyło pewnemu szlachcicowi z Pistoii.

„W Pistoii mieszkał szlachcic z rodu Vergellesi, imieniem Francesko. Był to człek wielce bogaty, mądry, pełen życiowej eksperjencji, aliści<sup>51</sup> skąpy okrutnie. Ów, mianowany będąc podestą<sup>52</sup> Mediolanu i wybierając się w drogę do tego miasta, opatrzył się we wszystko, czego mu było trza, stosownie do godności swojej. Brakowało mu tylko pięknego rumaka. Nie mogąc znaleźć takiego, co by mu się podobał, trapił się i myślał, gdzie by go dostać. W owym czasie znajdował się w Pistoii pewien młodzieniec, imieniem Ricciardo, z nieznacznego idący rodu, ale bogaty wielce. Ricciardo tak był o swój pozór i strój dbały, że mu przydomek Strojnisia nadano. Młodzieniec ów od dawnego czasu miłował i bez powodzenia zabiegami swymi otaczał żonę messera Franceska, białogłową cnotliwą i wysokiej urody. Ponieważ zaś posiadał jednego z najpiękniejszych rumaków Toskanii, z którego był wielce dumny, a namiętność jego do żony pana Franceska była rzeczą powszechnie wiadomą, więc ktoś messerowi Francesco poradził, aby zażądał od Strojnisia jego rumaka. Dla miłości, jaką żywi do jego żony, niechybnie mu go odda. Messer Francesco, chciwością powodowany, zaprosił do siebie Strojnisia i zwrócił się do niego, aby mu rumaka sprzedał, w oczekiwaniu, że ten ofiaruje mu go w darze. Strojniś, usłyszawszy tę prośbę, uśmiechnął się i rzekł:

— Gdybyście mi dali wszystko, co posiadacie, jeszcze byście mego konia drogą kupna nie otrzymali. Możecie go jednak łatwie<sup>53</sup> w podarunku dostać. Zezwólcie tylko, abym zanim rumaka otrzymacie, mógł w waszej przytomności<sup>54</sup> słów kilka waszej żonie powiedzieć, w takim jednakże oddaleniu, aby nikt, krom niej, nie mógł mnie usłyszeć.

Francesko, zaślepiony chciwością, sądząc, że mu się uda łatwie Ricciarda na hak przywieść, przystał na ten warunek i oznajmił, że Strojniś może do jego żony tyle słów skierować, ile mu się tylko podoba. Ostawiwszy Ricciarda w wielkiej sali swego pałacu, udał się do komnaty żony, opowiedział jej, jakim łatwym sposobem może przyjść do posiadania

<sup>50</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>podesta — w średniowiecznych włoskich miastach najwyższy urzędnik o uprawnieniach sędziowskich i wojskowych. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>łatwie — dziś popr. forma: łatwo. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>w przytomności (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]

rumaka, i przykazał, aby poszła wysłuchać Strojnisia, nie odpowiadając jednak ani słowem na jego wywody. Żonie Francesca wielce to wszystko nie po myśli było, zmuszona jednak wole męża wypełnić, rzekła, że się zgadza. Za czym weszła z mężem do sali, aby posłuchać, co Strojnis mówić będzie.

Ricciardo, potwierdziwszy umowę swoją z Franceskiem, usiadł z jego żoną w odległym kącie komnaty i rzekł:

— Nie masz najmniejszej wątpliwości, szlachetna pani, że dzięki wielkiemu rozumowi swemu dawnoście już odgadnąć mogli, jaką miłość wzbudziła we mnie wielka wasza piękność, która z żadną inną w paragon<sup>55</sup> nie wchodząc nad wszystkimi przodek bierze. Nie będę tutaj się szerzył<sup>56</sup> nad waszymi obyczajami i osobliwymi przymiotami, których doskonałości żaden człek wzniosłego ducha oprzeć by się nie zdołał. Nie trza także słowami dowodzić, że afekt mój do was jest silniejszy i bardziej ognisty niż jakiegokolwiek uczucie, które mężczyzna do kobiety żywić może. Trwać ono będzie w tej samej sile, dopóki mi nędznego żywota starczy, jeżeli zasię na tamtym świecie jeszcze się istnieje, będę was miłował przez wieczność całą. Dlatego też możecie być przeświadczeni, że nie ma nic, drogiej czy pośledniej ceny, co byście tak prawdziwie swoim nazwać mieli prawo i na co byście we wszelkich okolicznościach tak liczyć mogli, jak na mnie i na wszelkie dobra moje.

Abyście się o tym przeświadczyć mogli dowodnie, powiem wam, że za największą łaskę sobie bym to poczytywał, gdybyście zlecili mi uczynić coś dla ukontentowania waszego. Miałbym to za większe szczęście, niż gdyby mnie cały świat słuchał. Skoro własność waszą stanowią, jak to widzicie ze słów moich, zaliż mam daremnie gorące prośby do was zanosić, wiedząc, że tylko od was może spłynąć na mnie spokój i szczęście? Dlatego też, jako pokorny niewolnik, proszę was, będących jedynym moim dobrem i nadzieją duszy mojej, która ufności pełna miłosnymi płomieniami się żywi, abyście raczyli stać się łaskawszą dla mnie i zmiękczyć nieco dotychczasową surowość swoją. Waszą litością pokrzepiony, będę mógł powiedzieć, że wasza piękność, co miłość we mnie wzbudziła, tchnęła też życie we mnie. Jeżeli wyniosłej swej duszy do próśb moich nie nakłonicie, życie moje wkrótce zagaśnie. Umrę, a was będą mogli nazwać morderczynią. Śmierć moja nie przyniosłaby wam chluby, mniemam także, że sumienie by wam spokoju nie dało i że wówczas, łaskawszą będąc dla pamięci mojej, niżli dzisiaj dla mnie jesteście, rzeklibyście do się: »Jakże źle postąpiłam, nie okazawszy memu biednemu Ricciardowi ani krztyny litości!«.

Dręczona niewczesnym żalem, tym głębszy ból poczujecie. Aby więc temu zapobiec, póki jeszcze czas, ulitujcie się nade mną i bądźcie łaskawi dla mnie, zanim nie zginę. W waszej mocy leży uczynić mnie najszczęśliwszym czy też najbiedniejszym na ziemi człowiekiem. Tuszę, że wasza miłość bliźniego do tego nie dopuści, abym miał za mą niezmierną miłość śmierć odnieść w zapłacie, ale że owszem, przychylnym i łaskawym responsem<sup>57</sup> wskrzepicie władze duszy mojej, które drżą teraz przed waszym obliczem.

Tutaj Ricciardo zamilkł i głęboko wzdychając, kilka łez uronił. Czekał teraz, co miła pani mu odpowie. Dama, której dotychczas wszystkie zabiegi Strojnisia, jako to turnieje czy serenady, poruszyć nie mogły, teraz na te wymowne i namiętne słowa kochanka poczuła nieznaną jej dotąd wzruszenie i pojęła, co miłość znaczy. I chociaż, posłuszna rozkazaniu męża, głębokie milczenie zachowywała, nie mogła przecie pohamować westchnienia, które Strojnisowi wyjawilo to, co by chętnie w słowach mu wyznała.

Ricciardo poczekał chwilę, ale widząc, że responsu nie ma, zadziwił się zrazu wielce; później jednak odgadł, jakiego podstępu Francesco chwycić się musiał. Spojrzawszy na oblicze damy, spostrzegł, że oczy jej, zwrócone na niego, błyszczały dziwnym blaskiem, usłyszał także stłumione westchnienia, dobywające się z jej łona, nabrał przeto otuchy i na nowy wpadł fortel. Jął odpowiadać sam sobie w imieniu damy i w jej przytomności<sup>58</sup> na ten kształt:

<sup>55</sup>w paragon wchodzić (daw.) — iść w zawody; dorównywać komuś. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>szerzyć się — tu: rozwodzić się; szeroko omawiać. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>respons (z łac., daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>w przytomności (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]

— Drogi Ricciardo, w samej rzeczy od dawna już spostrzegłam miłość twoją ku mnie i poznałam, że jest ona niezmierna i pełna doskonałości, teraz zasię<sup>59</sup> dzięki twoim słowom ugruntowałam się jeszcze bardziej w swym przekonaniu. Żywą radością wszystko to mnie przejmuję. Jeżeli twardą i nieużytą być ci się zdałam, to nie sądz, że oblicze moje było istotnym mego serca obrazem. Zawsze cię miłowałam, byłeś mi najdroższym członkiem na świecie. Należało mi jednakowoż tak czynić z lęku przed ludźmi i z troskliwości o dobrą cześć moją. Dzisiaj natomiast nadchodzi pora, gdy będę mogła dać ci jawne dowody miłości mojej i wynagrodzić cię za afekt, który zawsze dla mnie żywiłeś i żywisz. Dlatego też pociesz się i bądź dobrej myśli. Francesko odjeżdża wkrótce do Mediolanu, aby tam godność podesty<sup>60</sup> piastować. Wiesz sam o tym najlepiej, bowiem dla miłości swej do mnie oddałeś mu pięknego swego rumaka. Gdy tylko mąż mój gród nasz opuści, przysięgam ci na cześć moją i tę szczerą miłość, którą ci wyznaję, że w jak najprędszym czasie przywołam cię, aby nasza namiętność do lubego skutku dowiedziona być mogła.

Ażebyś zaś nie potrzebowała jeszcze raz w tej sprawie porozumiewać się z tobą, posłuchaj uważnie, co ci teraz powiem. Owego dnia obaczysz dwa ręczniki zawieszzone u okna mojej komnaty, wychodzącej na ogród. Następnej nocy, mając to na pieczy, aby cię nikt nie spostrzegł, postaraj się przekraść do mnie przez bramę ogrodu. Zastaniesz mnie czekającą na cię i wówczas całą noc będziemy się cieszyli sobą, czego tak bardzo pragniemy.

Gdy już Strojnis te słowa w imieniu damy wypowiedział, jął<sup>61</sup> odpowiadać jej od siebie tą modłą:

— Miła moja, od ogromnej radości, jaką odczuwam, słysząc waszą odpowiedź przychylną, tak mi w piersiach dech zaparło, że ledwie jestem w stanie należny dank<sup>62</sup> wam złożyć. Gdybym mógł mówić tak, jak tego pragnę, nie starczyłoby mi słów i czasu, choćby najdłuższego, na wypowiedzenie tego, co się w duszy mojej dzieje. Niechże zatem umysł wasz wnikliwy sam pojmie, co powiedzieć chciałem, słów nie znachodząc. Rzeknę wam tylko, że rozkazy wasze najściślej wypełnię. Wówczas pod dobroczynnym wpływem łaski, jaka mnie spotkała, na duchu skrzepiony, będę się starał w miarę sił wdzięczność moją wam okazać. Teraz zasię nie pozostaje nic innego, jak prosić Boga, aby zesłał wam wszelką radość i szczęśliwość, jakiej tylko pragniecie, Bogu was polecam, szlachetna pani!

Na to wszystko nie odrzekła dama ani słowa. Strojnis powstał i udał się do Franceska, który obaczwszy go, wyszedł mu na spotkanie i rzekł ze śmiechem:

— Cóż, zali dobrze obietnicę uściłem?

— Nie — odparł Strojnis — przyobiecaliście mi bowiem, panie, że będę mówił z żoną waszą, tymczasem natknąłem się na posąg marmurowy.

Odpowiedź ta niezmiernie się panu Franceskowi podobała i dała mu jeszcze lepsze pojęcie o cnocie żony, aniżeli miał dotąd.

— W każdym razie koń twój do mnie należy — rzekł.

— Tak — odparł Ricciardo — gdybym był jednakże wiedział, że za moją łaskawość taką nagrodę od was otrzymam, to podarowałbym wam rumaka wcześniej, żadnych nie stawiając warunków. I szkoda zaiste, że tak nie uczyniłem, bo wy kupiliście wierzchowca, choć ja go nie sprzedałem.

Francesko roześmiał się w głos, a potem, odebrawszy konia, po paru dniach udał się do Mediolanu, by objąć swój urząd.

Dama, pozostawszy sama w domu, często wspominała sobie słowa Strojnisia, myślała także o jego miłości dla niej i o rumaku, dla tej miłości podarowanym przezeń mężowi. Widząc go zaś przechadzającego się nieustannie pod jej oknami, rzekła do się: »Co ja czynię? Dlaczego marnuję mój wiek młody? Mąż wyjechał do Mediolanu i wróci nie prędzej jak za sześć miesięcy. Czyż mi wynagrodzi kiedy te stracone chwile? Może wówczas, gdy będę już staruchą? Krom tego, gdzież znajdę takiego miłośnika jak Ricciardo? Jestem tu sama i nie obawiam się nikogo. Dlaczegoż miałabym tak szczęśliwą sposobność zaniedbać. Kto wie, czy podobna kiedykolwiek się trafi? Nikt o tym nigdy się nie dowie,

<sup>59</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>podesta — w średniowiecznych włoskich miastach najwyższy urzędnik o uprawnieniach sędziowskich i wojskowych. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>dank (daw., z niem.) — podziękowanie, wyrazy wdzięczności. [przypis edytorski]

a zresztą, gdyby i wszystko na jaw wyszło, lepiej pokutować za to, czego się użyło, aniżeli żałować tego, czego się nie zaznało».

Porozmyślawszy do syta, pewnego dnia zawiesiła na oknie wychodzącym na sad dwa ręczniki. Ricciardo, ujrzawszy je, ucieszył się okrutnie i za nadejściem nocy wśliznął się po kryjomu do sadu przez furtkę, która zaparta nie była. Później wszedł do domu damy, która wyszła mu na spotkanie i z oznakami najżywszej radości go przyjęła. Ricciardo, objąwszy ją i ucałowawszy tysiąc razy, wszedł za nią na stopnie schodów. Nie mieszkając legli do łoża i ostatnie granice miłości poznali. Ten pierwszy raz ostatnim wcale nie był, bowiem w czasie nieobecności Francesca, a także po jego powrocie, Strojnis nieraz do domu jego żony powracał, składając jej liczne miłości dowody ku obopólnemu ukontentowaniu”.

## OPOWIEŚĆ SZÓSTA. W MIŁOŚCI JAK NA WOJNIE

*Ricciardo Minutolo miłuje żonę Filippella Sighinolfiego. Ta, będąc zazdrosna, daje wiarę słowom Ricciarda, że mąż jej wraz z jego żoną mają się spotkać w łaźni. Ricciardo tak zręcznie rzecz prowadzi, że Catella przybywa do łaźni, gdzie wziąwszy go za męża, pospołu z nim przebywa.*

Gdy Eliza zamilkła, królowa pochwaliła roztropność Strojnisia i Fiammetcie opowiedać przykazała.

Fiammetta rzekła z uśmiechem, że jest gotowa, i w te słowa zaczęła:

— Musimy się na niedługi czas oddalić od naszej stolicy, która obfituje w rozliczne przypadki i w przykłady każdej materii dotyczące. Podobnie jak i Eliza opowiem o rzeczach, które gdzie indziej się na świecie przytrafiły. Przenieście się ze mną do Neapolu i posłuchajcie, jak to jedną z tych pobożnis, krzywiących się na wspomnienie miłości, przebiegły kochanek zmusił do skosztowania jej owoców, nim jeszcze kwiaty poznała. Opowieść moja posłuży wam na przyszłość przestrożą, a także wszystkich was zabawi przeszłości wspomnieniem.

„W starożytnym mieście Neapolu, najmilszej może ze wszystkich stolic Italii, żył pewien młodzieniec bardzo znacznego rodu, a przy tym wielce bogaty, nazwiskiem Ricciardo Minutolo. Ów, chociaż miał urodziwą i młodą żonkę, przecie zakochał się w innej białogłowie, która według powszechnego mniemania urodą swoją nad wszystkimi Neapolitankami górowała. Catella (bowiem tak się zwała) była żoną młodego i również znacznego człowieka, Filippella Sighinolfi, który ją nad wszystko w świecie miłował i dla jej uczciwości w wielkim ją miał zachowaniu a czci. Ricciardo Minutolo, rozkochawszy się w tej damie, użył wszelkich środków, którymi zwykle wzajemność i względy białogłowy się zdobywa, aliści<sup>63</sup> wszystko to do upragnionego nie doprowadziło go skutku. Popadł zatem w czarną rozpacz, a nie będąc w stanie od swej namiętności się uwolnić, ani życiem cieszyć się nie mógł, ani umrzeć nie potrafił. Widząc go w podobnym stanie, kilka białogłów, które się do jego rodziny zaliczały, jęło<sup>64</sup> go pocieszać i przekładać mu, aby wybił sobie z głowy ową miłość, bowiem wszystkie starania daremnymi się okazały. Catella nikogo na świecie tak nie miłuje jak Filippella; jest przy tym tak o niego zazdrosna, iż drży nawet przed każdym przelatującym ptakiem, aby go jej przypadkiem nie porwał.

Ricciardo, usłyszawszy o zazdrości Catelli, zaraz powziął pewną myśl sprzyjającą jego zamiarom i uczynił pozór, że zwątpiwszy już, aby względy Catelli mógł pozyskać, zwrócił swoje afekty ku innej szlachetnej białogłowie, na cześć której począł urządzać turnieje i gonitwy, co przedtem dla Catelli zwykł był czynić.

Niewiele czasu upłynęło, a już wszyscy w Neapolu, pospołu z Catellą, tego mniemania byli, że Ricciardo nie Catellę, lecz tę drugą białogłowę gorącym afektem darzy. Tak długo chytre swoje ułożenie prowadził, że wszyscy uwierzyli w to twardo, a Catella, przestawszy się mieć na bacności, jak dawniej, gdy jeszcze miłość do niej żywił, jęła się z nim przyjaźnie obchodzić i przy spotkaniu na równi z innymi uprzejmie go jako sąsiada witać.

<sup>63</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

Tymczasem nastąpiło upalne lato i wielka liczba mężczyzn jak i kobiet, zgodnie z neapolitańskim zwyczajem, wybrała się nad brzeg morza, aby tam wczasu zażyć, a także obiad i wieczerę spożyć. Ricciardo, zasłyszawszy, że Catella z towarzystwem swoim tam się znajduje, również z swoimi przyjaciółmi na brzeg morza się udał. Długo się prosić kazał, nim do kompanii Catelli się przyłączył, dając przez to poznać, że niewiele o to stoi. Białogłowy, a w ich liczbie i Catella, jęły dworować nieco z jego nowej miłości. Ricciardo udawał, że cały jest tą miłością rozplamieniony, przez co jeszcze większy dał do gadek powód. Wkrótce potem towarzystwo się rozproszyło, jak to bywa nad morzem, tak iż Ricciardo sam niemal z Catellą pozostał. Wówczas skorzystał z chwili, aby jej napomknąć niejasno o pewnej miłostce jej męża, Filippella. Catella zaraz srogą zazdrość uczuła i zapłonęła żądzą dowiedzenia się bliższych szczegółów. Przez chwilę hamowała się, ale wreszcie, nie będąc zdolna wytrwać dłużej, zakląła Ricciarda na miłość ulubionej przez niego damy, aby wyjaśnił jej słowa Filippella się tyżące.

— Pani — odparł Ricciardo — zaklęście mnie na imię takiej osoby, że nie sposób jest, abym miał wam czegokolwiek odmówić. Dlatego też gotów jestem powiedzieć wam wszystko, pod warunkiem jednak, że przyrzekniecie mi nie wspominać o tym ani słowa, czy to mężowi, czy komukolwiek innemu, do czasu, aż się nie upewnicie co do prawdy słów moich. Jeśli zechcecie zaś, nauczę was, jak macie postąpić, aby się przekonać.

Dama zgodziła się chętnie na tę kondycję<sup>65</sup>, uwierzyła jeszcze silniej w jego słowa i poprzysięgła, że nikomu tajemnicy nie zdradzi. Wówczas Ricciardo odwiódł ją na stronę, aby inni ich nie słyszeli, i rzekł na ten kształt:

— Gdybym was tak jak dawniej miłował, nie miałbym odwagi powiedzieć wam tego, co by wam strapienia przyczynić mogło. Teraz jednak, gdy miłość już minęła, nie będę się wahał odkryć wam całej prawdy. Nie wiem, czy Filippella drażnił afekt, który dla was żywiłem, czy też wydawało mu się, żeście mi wzajemnością odpłacali, jakkolwiek jednak rzecz by się miała, nigdy nic nie dał poznać po sobie. Teraz jednak, sądząc widocznie, że nadszedł czas sposobny, gdy ja mniej będę skory do podejrzeń, chce mi odpłacić pięknym za nadobne i uczynić mi to, czego obawiał się, abym ja mu nie uczynił: czyli żonę moją uwieść. Wiem, że od pewnego czasu stara się ją nakłonić do zdrady tajemnymi poselstwami, o których zaraz mi donosiła. Odpowiadała na nie zgodnie z moją radą a pouczeniem. Jednocześnie dzisiaj rano, nim tutaj przybyłem, zastałem w komnacie żony jakąś białogłową, tajnie nad czymś się z nią naradzającą. Zaraz odgadłem, co to za jedna, i spytałem żony, czego chce ta kobieta.

»Jest to posłanka Filippella — odparła. — Sprowadzasz na mnie te kłopoty swoimi radami, odpowiedziami i dodawaniem mi nadziei. Filippello chce się dowiedzieć, jak postąpić zamysłam. Gdy się zgodzę, uczyni tak, abym mogła przyjść tajnie do pewnej łaźni. Do tego mnie nakłania i o to prosi. Gdybyś nie kazał mi, Bóg wie w jakim celu, tych stosunków utrzymywać, już dawno byłabym mu dała taką odpowiedź, że nawet spojrzeć w moją stronę nie byłby się ośmielił«.

Wówczas zdało mi się, że Filippello zbyt daleko swoją zuchwałość posuwa i że dłużej tego nie lza<sup>66</sup> znosić. Postanowiłem tedy<sup>67</sup> oznajmić wam o tym, abyście poznali, jak wam płacą za waszą wierność niewzruszoną, która mnie o mały włos do śmierci nie przywiodła. Abyście zaś nie myśleli, że to są jeno<sup>68</sup> puste słowa i bajędy, i byście mogli, gdy zechcecie, o prawdzie tej się przekonać i własnymi rękoma jej dotknąć, kazałem odpowiedzieć żonie przez tę kobietę, że gotowa jest przyjść jutro, około dziewiątej, gdy wszyscy śpią, do tej łaźni. Posłanka odeszła wielce uradowana. Spodziewam się, że nie sądzicie, abym żonie mojej pójść tam pozwolił. Gdybym był na waszym miejscu, uczyniłbym tak, aby miast<sup>69</sup> tej, którą zastać sądzi, pan mąż mnie znalazł; przebywszy z nim czas niejaki, pokazałbym mu, kogo tak ścisza, i zapłaciłbym mu tak jak się należy. Gdybyście tak uczynili, niewątpliwie taki by nim wstyd owładnął, że ujma i nieprawość, którą wam i mnie chciał wyrządzić, w jednej chwili pomszczona by została.

<sup>65</sup>kondycja — tu: warunek. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>nie lza (daw.) — nie można. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>miast (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]



Catella nie dała baczności na to, kto te słowa mówi, i podstępnie nie spostrzegła; przeciwnie, zgodnie z obyczajem zazdrośników, uwierzyła we wszystko i jęła przywozić sobie na pamięć rozliczne drobne okoliczności, które do tego faktu się ściągały.

Dlatego też, nagłym gniewem owładnięta, odparła, że w samej rzeczy tak uczyni, bowiem nie jest to rzecz do wypełnienia trudna, gdy zaś jej mąż się zjawi, tak go zasroma, że odtąd zawsze, gdy tylko jaką białogłową obaczy, despekt ten wspomnieć sobie będzie musiał.

Ricciardo, niezmiernie tym uradowany, obaczył, że fortel jego jest skuteczny; utwierdził ją zatem w tym jej przedsięwzięciu jeszcze innymi mnogimi słowy, tak iż uwierzyła mu całkiem. Prosił jeno, aby nikomu nie zdradziła, że się od niego o tym dowiedziała. Catella obiecała mu to uroczyście.

Następnego dnia Ricciardo udał się do pewnej kobiety, właścicielki łaźni, którą wskazał był Catelli; odkrył jej swój zamysł i prosił, aby w miarę sił swoich mu dopomogła. Kobieta ta, mająca wobec niego pewne obowiązki<sup>70</sup> wdzięczności, zgodziła się chętnie i porozumiała się z nim, co jej czynić i mówić wypada.

W domu, gdzie mieściła się łaźnia, znajdowała się mała, ciemna komnata, niemająca jednego choćby okna, co by ją oświetlało. Pocziwa kobieta, wedle wskazówek Ricciarda, przygotowała ją stosownie i postawiła w niej wygodne łóżce. Ricciardo, zjadłszy obiad, położył się na nie i ją czekać na Catellę.

Catella, wysłuchawszy słów Ricciarda i używszy im więcej wiary, niżli należało, gniewna i oburzona do domu powróciła. Wkrótce nadszedł także i Filippello, który jakimś ważkimi myślami zajęty będąc, przypadkiem nie tak czule ją powitał, jak to zwykle miał w zwyczaju czynić. Spostrzegłszy to Catella umocniła się jeszcze w swym podejrzeniu i rzekła do siebie: »Myśli, oczywiście, o tej białogłowie, z którą jutro ma rozkoszy użyć, ale na Boga, nic z tego nie będzie!«.

Takimi myślami zajęta, całą prawie noc głowiła się nad wynalezieniem stosownej do męża przemowy, gdy się z nim znajdzie.

Gdy nadeszła godzina dziewiąta, Catella wzięła swoją pokojową i spełniając postanowienie, udała się do łaźni, o której Ricciardo mówił. Ujrzawszy łaźniącą spytała, zali Filippello był tu dzisiaj? Ta, nauczona przez Ricciarda, odparła:

— Zali<sup>71</sup> jesteście, pani, tą damą, na którą on czeka?

— Tak — rzekła Catella.

— Tedy pozwólcie do niego!

Catella, która wybrała się szukać tego, kogo jako żywo, wcale znaleźć nie chciała, pozwoliła się zawieść do komnaty, gdzie na łóżu Ricciardo leżał. Weszła do komnaty, nie zdejmując zasłony z twarzy, i drzwi za sobą zaparła<sup>72</sup>.

Ricciardo, ujrzawszy ją, skoczył radośnie z łóża, oblał ją ciasno w ramionach i rzekł szeptem:

— Witam cię, najdroższa kochanko moja!

Catella, nie chcąc się zdradzić, oddała mu uścisk za uścisk, ucałowała go i radość po sobie pokazała, ale nie rzekła ni słowa, bała się bowiem, aby jej nie poznał. Izba była ciemna, ku ukontentowaniu ich obojga. Nawet gdy się przez dłuższy czas w niej pozostawało, czy niczego rozróżnić nie mogły. Ricciardo zaprowadził Catellę do łóża. Leżeli na nim długo, zatopieni w rozkoszy, ku niewypowiedzianej radości każdego z nich, nie mówili jeno<sup>73</sup> nic ze sobą, aby się głosem swoim nie zdradzić. Na koniec, gdy się wreszcie zdało Catelli, że winna dać folgę hamowanej tak długo wściekłości, zawołała, srogim gniewem zapalona:

— O Boże, jakże okrutny jest los białogłów i jakąż straszną za miłość swoją odbierają one od mężów zapłatę! O ja nieszczęsna! Oto od ośmiu lat kocham cię nad życie, ty zaś, niegodny człowieku, trawisz się namiętnością do innej kobiety? Kogóż to sądzisz mieć obecnie w objęciach swoich? Tę samą, którąś zwodził długo fałszywymi czułościami swymi, udając do niej miłość, podczas gdy kochałeś inną. Jam jest Catellą, a nie żoną Ricciarda, zdrajco niegodny! Poznajesz mój głos? To ja, ja w mojej własnej osobie! Zdawa

<sup>70</sup>oblig — zobowiązanie. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>zali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>zaprzeć a. zaurzec (daw.) — zamknąć. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

mi się, że już tysiąc lat czekam na światło, żeby cię zasromać, psie chutliwy i łotrze przekłety! O ja nieszczęsna, dla kogóż to przez tyle lat podobną miłość żywiłam? Dla tego psa nędznego, który mniemając, że ściska w ramionach obcą białogłową, w ciągu tych kilku chwil liczniejszymi mnie pieściznami obsypał niżli przez cały czas małżeństwa naszego. Umiałeś się teraz, nędzniku, stać dzielnym i krzepkim, chociaż w domu za słabego, znużonego i niedołężnego chcesz zwykle uchodzić!

Bogu Najwyższemu chwala, żeś użyźnił swoje, a nie cudze, pole, jak mniemałeś. Nie dziwię się teraz, że poprzedniej nocy nie zbliżyłeś się wcale do mnie. Chciałeś na co innego nagromadzone siły zachować, aby wstąpić w bój miłosny jako świeży, wypoczęty rycerz. Dzięki Bogu i mojej przeczności struga spłynęła korytem, którym winna była spłynąć. Czemu nie odpowiadasz, potworze? Zali żeś oniemiał, słowa moje usłyszawszy? Nie wiem, na mą duszę, co mnie od tego wstrzymuje, aby ci oczy wydrapać. Mniemałeś, że ci się uda tę zdradę w tajności popełnić, aliści<sup>74</sup>, dzięki Bogu, i inni oczy mają. Lepiej cię śledziłam, niż sądzisz!

Ricciardo śmiał się w duchu, słysząc te słowa; nie odpowiadał na nie wcale, tylko ściskał i całował Catellę bez ustanku i coraz gorętsze łaski jej okazywał. Wówczas Catella znowu mówić poczęła:

— Jeżeli myślisz mnie teraz pieściznami swymi ułagodzić i pocieszyć, w wielkim jesteś błędzie. Powiadam ci, że nie spocznę aż do tej chwili, gdy cię nie zawstydzę w przytomności<sup>75</sup> wszystkich krewniaków, sąsiadów i przyjaciół.

Zali nie jestem, bezcniku, równie piękna jak żona Ricciarda Minutolo? Czemu nie odpowiadasz, psie niewierny? Jakąż wyższość ma ona nade mną? Odsuń się od mnie i nie śmiej mnie więcej dotykać. Już dosyć dowodów dzielności złożyłeś! Wiem dobrze, że teraz, uznawszy, że to ja jestem, wszystko, co byś czynił, czyniłbyś jeno z przymusem. Poczekaj, jeszcze nieżle się przepościsz z mojej łaski. Wierę<sup>76</sup>, sama nie wiem, czemu nie posyłam po Ricciarda, który kochał mnie nad życie, chociaż pochwalić się nie mógł, abym choć raz na niego spojrziała. Teraz wiem, że inaczej postępować należało. Mniemałeś, że znajdziesz tutaj jego żonę; znaczy więc, że jakbyś ją pieścił. Gdybym zatem ja do Ricciarda teraz należała, nie mógłbyś mi wyrzutów czynić.

Tu już jej słów zabrakło i gorzko zapłakała. Ricciardo, zważywszy na koniec, że gdyby ją w błędnym mniemaniu ostawił, przykre z tego skutki wyniknąć by mogły, postanowił dać się jej poznać i wywieść ją z błędu. Schwyciwszy ją przeto w objęcia, tak że się wyrwać nie mogła, rzekł:

— Nie niepokój się, najdroższa moja! Czego samą miłością osiągnąć nie zdołałem, pozyskałem dzięki podstępowi, którego mnie nauczył Amor! Jestem twoim Ricciardem!

Catella, słowa te usłyszawszy i poznawszy głos Ricciarda, chciała zaraz z łoża wyskoczyć, aliści uczynić tego nie zdołała. Później zagroziła, że krzyknie, lecz kochanek zamknął jej ręką usta i rzekł:

— Pani, tego, co się stało, odrobić się nie da, choćbyście i przez całe życie swoje krzyczeń chcieli. Gdy teraz hałasu narobicie albo w jakikolwiek sposób sprawicie, że dojdzie to do wiadomości kogokolwiek, niewątpliwie dwa niemiłe z tego wynikną skutki. Dobra wasza sława i cześć na szwank narażone zostaną, bowiem, choćbyście nawet utrzymywać chcieli, że was podstępem tu zwałił, ja kłamstwo wam zadam i powiem, że was do tego obietnicami i podarunkami skłoniłem. Dalej rzeknę, iż w nadziei swojej co do ich wartości omylona, wpadliście w gniew, gwałt ten podnosząc. Wiadomą wam zaś jest rzecz, że świat chętniej złemu niż dobremu uwierzy, przeto też raczej mnie da posłuch niż wam. Krom<sup>77</sup> tego między mną a mężem waszym śmiertelna nienawiść powstanie i rzeczy tak daleko zająć mogą, że albo ja jego zabiję, albo on mnie, a wątpię, abyście przez to szczęśliwsi czuć się mieli. Dlatego też nie ściągajcie hańby na się i nie wzbudzajcie kłótni między małżonkiem waszym a mną. Nie jesteście pierwszą ani nie ostatnią, zaiste, którą wyprowadzono w pole, ja zasię<sup>78</sup> oszukałem was nie dlatego, aby jakąś własność wam odebrać, ale z przyczyny tej wielkiej miłości, jaką dla was żywię i zawsze żywić będę,

<sup>74</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>w przytomności (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

waszym pokornym niewolnikiem się mieniać. Od dawna już ja i całe moje mienie do was należy i wam jest podległe, od tej chwili pragnę jednak, abyście jeszcze więcej do wszystkiego mieli prawa. Jako że w różnych sprawach rozumni jesteście, tuszę<sup>79</sup>, że i tu takimi się okażecie.

Gdy Ricciardo słowa te mówił, Catella gorzko płakała. Chocia jednak srodze strapienia i wzburzona była, przecie w głębi duszy przyznała, że Ricciardo ma słuszość i że w przyszłości zdarzyć się może tak, jak on przepowiada. Dlatego też rzekła:

— Nie wiem, zaiste, jak mi Bóg pomoże przenieść<sup>80</sup> tę hańbę, którąście mi wyrządzili. Nie będę wszczyniała rumoru tutaj, gdzie mnie przywiodła głupota i zazdrość nierozumna, jednakże przysięgam wam, że nie uspokoję się, dopóki w ten czy inny sposób za obrazę się nie pomszczę. Puśćcie mnie już i nie próbujcie zatrzymywać dłużej. Osiągnęliście już przecie, czegoście pragnęli, i wymęczyliście mnie niezgorzej. Proszę więc raz jeszcze, pozwólcie mi odejść spokojnie!

Ricciardo, czując, że Catella jest jeszcze wzburzona ponad miarę, postanowił nie wypuszczać jej, dopóki się całkiem nie uspokoi, dlatego też ją<sup>81</sup> najczulszymi słowami ulagadzać. Tak długo ją prosił, zaklinał i tak nalegał na nią, że Catella wreszcie, zwyciężona, pokój z nim zawarła. Pogodzeni z sobą, przebyli w łaźni jeszcze czas pewien, niewysłowionej rozkoszy zażywając. Catella, uznawszy, że pocałunki kochanka smakowitsze są od pocałunków męża, odmieniła dotychczasową swoją dla Ricciarda nieczulość na tkliwą miłość do niego. Przy wielkiej z obu stron przezorności nieraz jeszcze swoją miłością się cieszyli. Oby Bóg i nam tak się cieszyć zezwolił!”

## OPOWIEŚĆ SIÓDMA. PIELGRZYM

*Tedaldo, w niezgodę z swoją damą popadłszy, opuszcza Florencję. Po pewnym czasie powraca do grodu w przebraniu pielgrzyma. W rozmowę wchodzi ze swoją panią i wykazuje jej, jaki błąd popełniła. Ratuje od śmierci jej męża, któremu dowiedziono, że stał się jego zabójcą, i godzi go z braćmi. Później wzajemną miłością rozważnie się cieszy.*

Fiammetta zamilkła wśród ogólnych pochwał. Po czym królowa, aby czasu po próżnicy nie tracić, zaraz Emilii opowiadać kazała. Emilia w te słowa zaczęła:

— Pragnę powrócić do naszego miasta, od którego oddaliły się dwie moje poprzedniczki, i opowiedzieć wam, jak jednemu z ziomeków naszych utracone względy kochanki odzyskać się udało.

„Żył niegdyś we Florencji młody szlachcic, Tedaldem degli Elisei zwany, który miłował okrutnie pewną damę, imieniem Ermellina, żonę niejakiego Aldobrandina Palermini. Młodzieniec ów, dzięki swoim chwalebny obyczajom, godzien był cieszyć się pragnień swoich skutecznieniem, aliści<sup>82</sup> fortuna, nieprzyjaciółka szczęśliwych, wspaniałemu temu stanęła. Nie wiedząc z jakiego powodu dama, pełna dlań przez czas dłuższy przychylności, takiego doń wstrętu nabrała, że nie tylko poselstw od niego przyjmować nie chciała, ale i unikała jego widoku. Z tej przyczyny Tedaldo w ciężką i przykrą melankolię popadł. Ponieważ jednak miłość swoją dobrze ukrywał, nikt powodu jego strapienia odgadnąć nie mógł. Starając się wszelkimi sposobami odzyskać miłość, którą utracił był bez żadnej z swojej strony winy, i widząc, że wszystkie jego wysiłki są próżne, postanowił ojczyznę swoją opuścić, aby sprawczyńi nieszczęścia widokiem jego strapienia i smutku cieszyć się nie mogła. Zebrał więc pieniądze, ile zdołał, i w wielkiej tajności, nie żegnając się z nikim, krom<sup>83</sup> jednego przyjaciela, który o wszystkim był uwiadomiony, do Ankony wyruszył pod przybranym nazwiskiem Filippa di Sanlodeccio.

W Ankonie zaciągnął się na służbę do pewnego bogatego kupca i na pokładzie jego okrętu odpłynął na Cypr.

<sup>79</sup>tuszyc (daw.) — mieć nadzieję. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>przenieść (daw.) — znieść. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

Obyczaje jego i poczynania tak się kupcowi podobały, że nie tylko znaczne zasługi mu ustanowił, ale i do spółki go przypuścił, poruczając mu pieczę nad większością dzieł<sup>84</sup> swoich. Tedaldo tak je szczęśliwie prowadził, że stał się po kilku latach poważanym i bogatym kupcem. Chociaż pośród zajęć swoich rozlicznych często swoją damę okrutną wspominał, chociaż miłość nękała go srodze, tak iż rad by był ujrzeć jak najprędzej Ermellinę, przecie okazał się tak twardym, że w przeciągu siedmiu lat nieustannie samego siebie przewyciężał. Zdarzyło się jednak, że pewnego razu usłyszał na Cyprze kanconę, którą niegdyś sam był ułożył, wysławiając w niej miłość wzajemną obojga i doznawane od pani swej rozkosze, i pomyślał, że jest rzeczą niemożliwą, aby dama jego o wszystkim zapomnieć miała. Owładła nim tak ogromna żądza ujżenia Ermelliny, że już wytrzymać dłużej nie będąc w stanie, postanowił do Florencji powrócić.

Przywiódłszy swoje sprawy do porządku, wyruszył do Ankony w towarzystwie jednego sługi. Stamtąd odesłał swoje kufry do Florencji, do jednego z przyjaciół ankońskiego kupca, sam zaś przybył wraz ze sługą do miasta chyłkiem, przebrany w strój pielgrzyma powracającego od Grobu Świętego. Wszedłszy do grodu, zamieszkał w małej gospodzie, należącej do dwóch braci i położonej w pobliżu domu jego damy. Pierwsze swoje kroki tam obrócił, aby ją ujrzeć. Aliści okna i drzwi zamknięte znalazł i wniósł stąd, że dama jego albo umarła, albo też do innego miasta się przeniosła. Pełen srogiej turbacji, udał się do domu swoich braci i ujrzawszy ich wszystkich czterech w żałobne szaty przybranych. Tym widokiem wielce zadziwiony i pewien, że do tyła strojem swoim i pozorem jest odmieniony, iż nikt go łatwie<sup>85</sup> nie pozna, zbliżył się do pewnego szewca i zapytał, dlaczego ci panowie są w czarne szaty ubrani? Szewc odparł na to:

— Jeszcze i dwóch tygodni nie ma, jak jeden z ich braci, imieniem Tedaldo, który już od dawna stąd odjechał, zabity został. Zdawa mi się, że dowiedli przed sądem, iż pozbawił go życia Aldobrandino Palermi (już go pochwycono!) za to, że Tedaldo jego żonę miłował i że powrócił tu w przebraniu, aby ją ujrzeć.

Tedaldo wielce się zadziwił na myśl, że ktoś tak podobny do niego się okazał, i litować się jął<sup>86</sup> w duszy nad losem Aldobrandina. Dowiedziawszy się jednak, że Ermellina żyje i dobrym zdrowiem się cieszy, powrócił do gospody wraz z nastaniem nocy, pełen różnorodnych myśli. Powieczerzawszy wraz ze sługą, dostał na nocleg komnatę znajdującą się na najwyższym piętrze domu. Jednakże natłok myśli, niewygodne łóżko, a może i nędzna wieczerza, którą spożył, zasnąć mu długo nie pozwalały. Około północy zdało mu się, że kilku ludzi spuszcza się z dachu domu; wkrótce w szparze drzwi, wiodących do jego komnaty, ujrzawszy światło. Dlatego też, podkradłszy się cicho do szpary, jął patrzeć, co by to znaczyć miało. Obaczył piękną dziewczynę, trzymającą w ręku ogarek, a obok niej trzech mężów, których kroki niedawno na dachu słyszał. Po uprzejmym pozdrowieniu jeden z nich w te słowa do dziewczyny się odezwał:

— Bogu Najwyższemu niech będzie chwała za to, że możemy teraz spać spokojnie. Morderstwo Tedalda degli Elisei dowiedzione zostało przez jego braci Aldobrandinowi Palermi. Aldobrandino przyznał się i wyrok na niego jest już podpisany. Mimo to ostrożność stosowną zachować musimy, bowiem gdyby kiedyś wyszło na jaw, że to my winowajcami jesteśmy, spotkałby nas ten sam los co Aldobrandina.

Rzekłszy to pożegnali się z dziewczyną, która na tę wieść wielce się uradowała, i spać poszli.

Tedaldo usłyszawszy te słowa, jął rozmyślać nad tym, jakim to omyślnościom umysły ludzkie są podległe; wspomniawszy swoich braci, którzy opłakali i pochowali jakiegoś obcego człowieka, później pomyślał także o niewinnym Aldobrandinie skazanym na śmierć dzięki podejrzeniom i świadectwom fałszywym. Ujrzał dowodnie srogość praw i sędziów, którzy często miast<sup>87</sup> tego, aby prawdę rozeznac i ujawnić, okrutnym sposobem nieprawdziwe zeznania wymuszają i nazywają siebie sługami Boga i sprawiedliwości, podczas gdy są jeno<sup>88</sup> rzecznikami diabła i kłamstwa.

Sąd

<sup>84</sup>dziela — tu: interesy, działalność. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>latwie — dziś popr. forma: latwo. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>miast (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

Potem Tedaldo ją szukać środka ratunku dla Aldobrandina, aż wreszcie pewien zamysł powziął.

Wstawszy rano, ostawił służącego w gospodzie i udał się do domu swojej damy. Znalazł przypadkiem drzwi otworem stojące i wszedłszy, ujrzał Ermellinę siedzącą w dolnej izbie na podłodze i płaczącą gorzko. Z litości sam o mały włos nie zapłakał. Zbliżył się do niej i rzekł:

— Nie turbujcie się, pani! Pociecha jest już bliska.

Dama, słowa te usłyszawszy, podniosła głowę i rzekła przez łzy:

— Wydajesz mi się obcym pielgrzymem, dobry człecze! Cóż możesz wiedzieć o mym smutku i pocieszę?

— Pani — odparł pielgrzym — przybywam właśnie z Konstantynopola, skąd Bóg umyślnie mnie przysłał, aby łzy wasze w radość zamienić, a małżonka waszego od śmierci wybawić.

— Jak to być może? — zawołała dama. — Jeśli z Konstantynopola przybywacie i dopiero przed chwilą weszliście do grodu, skądże wiedzieć możecie, kto jest moim mężem i kim ja jestem?

Wówczas pielgrzym na dowód, że prawdę mówi, opowiedział jej od początku o przeciwnościach, jakie Aldobrandino znosił, nazwał ją po imieniu, wymienił, ile lat jest już za mężem, i o mnóstwie rzeczy tyjących się jej spraw powiedział. Ermellina, niesłychanie tym wszystkim zadziwiona, biorąc go za proroka, padła przed nim na kolana i na wszystkie świętości zaklinała go, aby jak najspieszniej Aldobrandina ratował, jeśli dla jego ocalenia się zjawił, bowiem już niewiele czasu na ten ratunek pozostaje.

Pielgrzym, udając natchnionego, rzekł w te słowa:

— Powstańcie, pani, łzy swe pohamujcie i posłuchajcie, co wam oznajmić pragnę. Proszę was jeno, abyście się najmniejszym słówkiem przed kimkolwiek nie zdradzili. Bóg mi objawił, że nieszczęście was teraz dotykające jest karą za grzech, któryście kiedyś popełnili. Bóg pragnie, abyście obecnie grzech ten, choćby w części, odpokutowali, nim go w przyszłości całkiem nie zmażecie, inaczej bowiem w jeszcze cięższe popadnięcie terminy.

— Ach, świętobliwy mężu — zawołała dama — niejeden grzech na mojej duszy ciąży, tak iż odgadnąć nie mogę, za co Bóg stosownej pokuty ode mnie żąda. Jeśli wam jest zatem wiadomy, wymieńcie mi go, a uczynię wszystko, co mogę, aby go zmazać.

— Wierę<sup>89</sup> — odparł pielgrzym — dobrze wiem o nim i od was więcej dowiadywać się o nim mi nie trzeba, a jeśli się pytam, to jeno dlatego, abyście jeszcze większą skrucę uczuli. Ale powróćmy do rzeczy! Powiedźcie mi, czy pomnicie o tym, żeście mieli kiedyś kochanka?

Dama usłyszawszy te słowa, westchnęła głęboko i niepomierne się zadziwiła, nie sądziła bowiem, żeby ktokolwiek na świecie o jej miłości wiedział, jakkolwiek szeptano o niej w czasie, gdy zginął ten, którego pogrzebano jako Tedalda, a źródłem tych pogłosek było parę nierozważnych słów wtajemniczonego we wszystko towarzysza Tedalda. Po chwili tak rzekła:

— Zaiste, widzę, że Bóg powierzył wam wszystkie ludzkie tajemnice i że na nic się nie zda cokolwiek przed wami ukrywać. W samej rzeczy, w młodości mojej miłowałam gorąco tego nieszczęśliwego młodzieńca, o zabójstwo którego męża mego oskarżono. Nad śmiercią jego tyle łez wylałam, że nawet dziś jeszcze wielką boleść uczuwam. Chocia przed jego odjazdem surową i nieużytą dlań byłam, jednakże ani rozłąka, ani tak długa jego nieobecność, ani śmierć jego wyrwać go z mego serca nie zdołały.

— Nie nieszczęsnego młodziana — odparł pielgrzym — którego właśnie zabito, ale Tedalda Elisei kochaliście, pani. Aliści powiedźcie mi, z jakiej przyczyny zagniewaliście się na niego? Zali was czymkolwiek dotknął?

— Bynajmniej — odparła dama. — Bóg widzi, że mi żadnej zniewagi nie wyrządził. Przyczyną całego zła były słowa pewnego przekłętogo mnicha, który mnie kiedyś spowiadał. Gdy mu wyznałam miłość, jaką do Tedalda żywię, i moją z nim zażyłość, rzucił na moją głowę takie gromy, że jeszcze dziś dreszcz trwogi mną wstrząsa. Zagroził mi, że jeśli z Tedaldem nie zerwę, zostanę na dno piekła w paszczę diabelską wrzucona i na

<sup>89</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

ogień wieczny skazana. Na te słowa taki strach mnie schwycił, że postanowiłam zbliżenia z Tedaldem unikać, na jego listy nie odpowiadać i wysłańców jego nie przyjmować. Aliści mniemam, że gdyby Tedaldo wytrwał, miast<sup>90</sup> wyjeżdżać stąd z rozpaczą, to na widok jego serca, topniejącego z miłości, jak śnieg na słońcu topnieje, odmieniłabym swoje surowe postanowienie, gdyż niczego na świecie bardziej nie pragnęłam.

— Pani — rzekł pielgrzym — oto jest ów jedyny grzech, za który teraz cierpieć musicie. Wiem dobrze, że Tedaldo nijakiego gwałtu wam nie zadał, pokochaliście go bowiem z własnej, nieprzymuszonej woli, ponieważ się wam podobał. Później, woli waszej zadosyć czyniąc, wszedł do waszego domu i bliski z wami zawiązał stosunek. Wy zaś słowami i czynami tyleście mu przychylności okazali, że jeśli pierwaj was miłował usilnie, to potem miłość jego jeszcze tysiąc razy się wzmogła. Jeśli zaś tak było w istocie, a wiem, że inaczej być nie mogło, cóż was tedy<sup>91</sup> k'temu<sup>92</sup> przywiodło, żeście go tak okrutnie odepchnęli? W takich okolicznościach z wielką rozważą postępować należy. Jeśliście czuli, że złego swego postępku kiedyś żałować będziecie, nie trzeba go było czynić. Jak on do was należał, tak wy niemniej jego własnością byliście. Pozbawiając go posiadania waszej osoby bez jego zgody i woli, popełniliście rabunek i uczynek niegodziwy. Dowiedzcie się teraz, że i ja jestem mnichem i że znam się dobrze na sztuczkach braciszków zakonnych. Gdy teraz z wielką swobodą o tym mówię, to tylko dlatego, że waszą korzyść mam na celu i że pragnę, abyście lepiej niż dotychczas mnichów poznali. Byli ongiś na świecie świątobliwi i zacni mnisi, aliści<sup>93</sup> ci, którzy teraz braćmi się zowią i chcą być za nich uważani, nic z mnichami wspólnego nie mają krom<sup>94</sup> habitu. A nawet ten habit niezbyt jest do zakonnej sukienki podobien. Założyciele zakonów ustanowili habit ubogi, wąski i z grubej uczyniony materii, na znak pogardy dla rzeczy doczesnych, od chwili gdy ciało swe w tak nędzny strój przyodziali. Teraz zaś ubierają się mnisi w szerokie, lśniące habitury z najprzedniejszego sukna uszyte i nadają im krój wytworny, jak na arcybiskupów przystało. Pysznią się i dmą w nich bezwstydnie na placach i w kościołach, niby ludzie świeccy, z swoich strojów dumni. Jak rybak, który od jednego zamachu siecią swoją mnóstwo ryb w rzece zagarnia, tak też i oni, rozwarłszy obszerne poły swych habitów, chcą w nie owinąć wiele dewotek, wdów, głupich kobiet i mężczyzn. Tylko o to się ciągle troskają, innych obowiązków nie znając, dlatego też, mówiąc po prawdzie, jeno<sup>95</sup> barwa pozostała im z habitu. Podczas gdy dawniejsi mnisi starali się dusze ludzkie dla Boga pozyskać, to dzisiejsi jedynie bogactw i kobiet pożądamy i całą umiejętność swoją tylko na to wysilają, aby gniewnymi słowy i strasznymi obrazami głupców zatrwożyć i wmówić w nich, że grzechy oczyścić można mszą lub jałmużną. Wszystko to czynią w tym celu, aby im (którzy na się habitury wdzielili nie dla pobożności, jeno dla małości serca i odrazy do pracy) ludzie dostarczali chleba, posyłali im wino i dawali tłuste kęsy na intencję zbawienia dusz ich przodków.

Prawda, że jałmużna i modlitwy grzechy oczyszczają, aliści gdyby ludzie pobożni wdzielili, na jaki cel ich dary się obracają, na pewno by je przy sobie zatrzymali albo też radniej świniom rzucili. Ponieważ zaś ci filuci wybornie wiedzą, że im mniej ludzi jednym skarbem się dzieli, tym więcej na każdego przypada, więc też nie szczędzą trudu i krzyku, aby strachem innych od tego odpędzić, co sami w całości posiadać pragną. Gromią mężów za rozpustę, aby zgromieni ukorzyli się i gromiącym białogłowy pozostawili, piętnują lichwę i zysk nieuczciwy, jednak miast<sup>96</sup> zwrócić właścicielom należne im pieniądze jeszcze szerzej swoje habitury otwierają i rzucają się w pogoń za beneficjami, tłustą prebendą i arcybiskupstwami zdobywanymi za ten grosz, który poprzedniego posiadacza o zgubę i potępienie przyprowadził. Gdy ich zaś<sup>97</sup> na plugastwie i mnogiej niegodziwości ktoś pochwyci, tym kształtem odpowiadają: »Czyńcie wedle słów naszych, nie wedle naszych postępków«. Mniemają widać, że zwalnia ich to od każdego brzemienia, tak jakby owce wytrwalsze i rozumniejsze być winny od pasterzy. Wiedzą też dobrze zazwyczaj, jak wielu

Religia, Ksiądz, Pobożność,  
Chciwość, Próżność

<sup>90</sup>miast (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>k'temu (daw.) — do tego. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>miast (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>zaś (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

ludzi zadowolnia się podobnym responsem<sup>98</sup> i rozumie go inaczej, niżby go pojmować należało. Dzisiejsi mnisi pragną, abyście czynili to, o czym oni mówią, a więc napełniali ich kiesy pieniędzmi, odkrywali im swoje tajemnice, zachowywali czystość, krzywdy wybaczała, byli cierpliwymi i złej mowy się strzegli — wszystko to są rzeczy szlachetne, bogobojne i święte. W jakimże celu jednakoż ich nauczają? Dlatego aby sami mogli czynić to, czego by dopiąć nie mogli, gdyby to czynili ludzie świeccy. Zaliż ktoś nie wie o tym, że człek pieniędzy nie mający długiemu próżnowaniu oddawać się nie może? Jeżeli grosz swój na własną przyjemność obrócisz, to czcigodny ojciec nie będzie już próżnować zgodnie ze swą regułą; gdy sam okoliczne niewiasty odwiedzać poczniesz, to dla braciszków miejsca już zabraknie; gdy nie będziesz cierpliwie zniewag znosił, to bratu przejdzie ochota wdzierać się do twego domu i cześć twojej rodziny szkalować. Po cóż się jednak nad tym tak szerzę<sup>99</sup>? Oskarżają samych siebie, ilekroć wobec rozumnych ludzi z podobnym responsem na harc wyruszają. Czemuż to do zakonu wstępują, jeśli nie czują się dość wstrzemięźliwymi i świątobliwymi, a jeśli już chcą bogobojnymi rzeczami się zajmować, dlaczego nie idą za świętym przykładem Ewangelii: »Począł Chrystus czynić i nauczać«? Niechajże zatem i oni wpieryw działają, a później pouczają innych. Nie raz, ale tysiąc razy w mym życiu widziałem mnichów zalecających się i przymilających nie tylko do białogłów świeckich, ale i do zakonnicy. Owóż byli to właśnie ci, co najgłośniej z kazalnicy swych grzmieli. I takich to mielibyśmy naśladować? Kto chce, niechajże tak czyni, wszelako Bogu wiadome jest, czy rozumnie postępuje.

Zalóżmy jednak teraz, że mnich, który was gromił, miał słuszność mówiąc, że złamanie wiary małżeńskiej jest wielkim grzechem. Zali, pytam, nie jest większym grzechem ograbić człeka, zabić go albo uczynić go wygnańcem wędrującym po świecie? Sądzę, że nikt temu nie zaprzeczy. Ścisły związek mężczyzny z białogłową — to grzech przyrodzony, ale grabież i zabójstwo, i przegnanie precz są występkami ze złego umysłu wypływającymi. Już wam to dowodnie wykazałem, żeście Tedalda ograbili, odebrawszy mu siebie, chociaż z własnej, nieprzymuszonej woli przedtem do niego należeliście. Teraz powiem wam jeszcze, żeście na jego żywot godzili, bowiem z dnia na dzień coraz okrutniejszą się stając, popychaliście go k'temu<sup>100</sup>, aby własnymi rękami śmierć sobie zadał. Prawo zaś głosi, że ten, kto jest złego uczynku pobudką, winien taką samą karę ponieść jak ten, który zbrodnię popełnił. A temu zaprzeczyc nie możecie, żeście spowodowali jego wygnanie i siedmioletnią po świecie tułaczkę. Każda z tych trzech win jest daleko sroższym grzechem niżli ów ścisły związek, w którym żeście z Tedaldem żyli. Ale może Tedaldo na podobny postępek zasłużył? Oczywistą jest rzeczą, że nie. Samiście to przyznali, a i ja wiem, że was bardziej niż siebie miłował. Gdy się znajdował tam, gdzie mógł o was mówić, nie wywołując podejrzeń i dobrej sławy waszej na szwank nie przywodząc, uwielbiał was, czcił i nad wszystkie białogłowy wynosił. Cały swój los, cześć i wolność swoją w wasze ręce złożył. Nie byłże młodzieńcem szlachetnego rodu? Nie przewyższał urodą i odwagą innych dzielnych młodzieńców? Zali go wszyscy nie miłowali? Zali nie spoglądali na niego chętnym okiem? Temu także nie zaprzeczycie. Jakże więc mogliście za podszeptem głupiego, podłego i zawistnego klechy tak surowie z Tedaldem postąpić? W istocie pojąć nie mogę, przez jaki to błąd i zaślepienie białogłowy mężczyzny od siebie odpychają i lekce ich sobie ważą, gdy tymczasem, zważywszy, czym są i czym jest mężczyzna, z woli bożej nad wszystkie istoty świata wywyższony, powinni się za szczęśliwe poczytywać, jeśli miłość jego pozyskają, a potem wszystkie jego chęci uprzedzać i drzeć tylko o to, aby miłować nie przestał. Wy zaś coście uczynili pod wpływem słów mnicha, który na pewno był pospolitym darmozjadem i pasożytem? Łotr ten, wierę<sup>101</sup>, chciał wtargnąć tam, skąd innego tak gorliwie wypierał. Jest to więc grzech tego rodzaju, że sprawiedliwość boska, ważąca wszystko na słusznej szali, bez kary ostawić go nie mogła. Jak wy, bez nijakiej przyczyny, Tedalda od siebie oddaliliście, tak też mąż wasz całkiem niewinnie teraz przez Tedalda w srogie terminy popadł, wy zaś w frasunek i strapienie. Skoro zaś chcecie z tego nieszczęścia się wydobyć, musicie jedną rzecz przyrzec, a nade wszystko później ją uczynić: jeśli kiedykolwiek Tedaldo z długiego wygnania swego tutaj

Kobieta, Mężczyzna,  
Miłość, Pozycja społeczna

<sup>98</sup>respons (z łac., daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>szerzyć się nad czymś — tu: rozwódzić się nad czymś; szeroko coś omawiać. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>k'temu (daw.) — do tego. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]



powróci, powrócicie mu miłość swoją, łaskawość i wszystkie względy; słowem, przywróćcie go do tego stanu, w jakim się znajdował pierwej, nim żeście dali posłuch głupiemu klesze.

Pielgrzym zakończył mowę swoją, której dama słuchała z wielką uwagą i w milczeniu, bowiem uznawała słuszność jego wywodów. Wierząc, że cierpienia jej są, w samej rzeczy, karą za grzech popełniony, rzekła.

— Mężu boży, widzę, że słowa wasze są prawdziwe, a także z waszego opisu poznaję, jakimi są ci mnisi, których dotychczas za świętych poczytywałam. Ani chybi, wielkim grzechem był mój wobec Tedalda postępek; gdyby to w mojej mocy leżało, chciałabym wyrządzoną mu krzywdę naprawić, ale cóż uczynić mogę? Tedaldo nigdy tu już nie powróci, bowiem nie ma go na tym świecie. Na cóż się wam przeto zda moja obietnica, skoro jej spełnienie jest rzeczą niemożliwą!

— Tedaldo — odparł pielgrzym — nie umarł wcale. Niebo mi to objawiło. Jest żywy i zdrowy i za szczęśliwego się poczyta, gdy go łaską swoją od nowa obdarzycie.

— Zważcie na to, co powiadacie — rzekła dama. — Widziałam go martwego przed moim progiem, przesytego ostrzami pugińców. Trzymałam go w swych ramionach, oblewając gorzkimi łzami martwe jego lica. Łzy moje dały zapewne później materię do gadek złośliwych.

— Cokolwiek byście mi powiedzieli — odparł pielgrzym — nie przestanę was zapewniać, że Tedaldo żyje. Jeśli tylko przyrzekniecie mi obietnicę zdzierżyć, wkrótce go tu, jak sądzę, obaczycie.

— Przyrzekam — rzekła dama — i z wielką ochotą słowa dotrzymam, nic bowiem większej radości mi nie sprawi, jak obaczenie męża mego w bezpiecznym i swobodnym stanie, a Tedalda przy życiu.

Wówczas Tedaldo osądził, że nadszedł stosowny czas na to, aby dać się poznać i skrzepić Ermellinę większą jeszcze nadzieją, że mąż jej wolność odzyska.

— Pani — rzekł do niej — chcąc wszystkie wasze obawy co do losu męża rozproszyć, odkryję wam pewną tajemnicę. Nie wyjawiajcie jej jednak nikomu na świecie!

Znajdowali się sami we dwoje w ustronnej komnacie, dama bowiem czuła wielką ufność do pielgrzyma, który wydał jej się mężem świętobliwym. Tedaldo zdjął z palca troskliwie strzeżony pierścień, który mu niegdyś w ostatnią noc razem spędzoną dała Ermellina.

— Czy znacie ten pierścień? — spytał pielgrzym.

Dama, poznawszy od razu klejnot, rzekła:

— Tak jest, dałam go kiedyś Tedaldowi.

Wówczas pielgrzym wyprostował się, zrzucił z siebie płaszcz i kaptur z głowy i rzekł w narzeczu florenckim:

— A mnie czy także poznajecie?

Na te słowa dama spojrziała nań i poznawszy w nim Tedalda, osłupiała całkiem i zartwożyła się tak, jak można by się przerazić martwych ciał, które nagle ruszać się zaczęły. Miał go w objęcia pochwycić, jako swojego Tedalda, który z Cypru powracał, uciekać przed nim chciała, niby przed trupem, co wyszedł z mogiły.

Wówczas Tedaldo rzekł:

— Nie strachajcie się po próżnicy, jestem Tedaldem żywym i zdrowym. Nie umarłem ani nie rozstałem się ze światem, tak jak sądziliście wy i bracia wasi.

Ermellina, nieco oprzytomniawszy, chociaż dźwięk jego głosu po dawnemu ją trwożył, spojrziała na niego uważniej i przekonała się, że jest on prawdziwym Tedaldem. Rzuciła mu się przeto z płaczem na szyję i rzekła całując go:

— Bądź pozdrowiony, mój Tedaldo najdroższy!

Tedaldo, ucałowawszy ją i uściskawszy, rzekł w te słowa:

— Nie czas teraz pieszczotom się oddawać. Chcę uczynić wszystko, co w mojej mocy leży, aby Aldobrandino powrócił tu zdrow i cały. Mam nadzieję, że nim jutrzejszy dzień minie, dobre wieści o nim usłyszycie. Jeśli dzisiaj jeszcze czegoś pomyślnego o nim się dowiem, powrócę do was tej nocy, aby się z wami swobodniej niż teraz nowinami podzielić.

Co rzekłszy włożył znów na się szaty pielgrzyma, pocałował Ermellinę i nadzieją ją pokrzepiwszy udał się tam, gdzie Aldobrandina więziono. Mąż Ermelliny więcej myślał

o śmierci, którą miał ponieść, niżli o możliwości ocalenia życia swego. Uzyskawszy przystęp do Aldobrandina, Tedaldo wszedł do jego celi, jako duchowny pociechę niosący, siadł obok niego na ławie i rzekł:

— Jestem twoim przyjacielem, Aldobrandino; Bóg mnie przysłał tutaj, abym cię wybawił, bowiem uzałił się On nad niewinnością twoją. Jeżeli przez wdzięczność do Stwórcy obiecasz mi spełnić niewielką rzecz, o którą cię zaraz poproszę, to nim jutro wieczorem wyrok śmierci na tobie wykonany zostanie, wolność odzyskasz.

— Sługo boży — odparł Aldobrandino — widzę, że o moje życie się troskasz, dlatego też, chociaż cię nie znam i choć nie pamiętam, abym cię kiedykolwiek widział, musisz w samej rzeczy być moim przyjacielem.

Bóg widzi, że nie popełniłem zbrodni, o jaką mnie oskarżono, aliści<sup>102</sup> świadom jestem wielu innych win swoich, za które teraz widocznie pokutować muszę. Zaręczam ci teraz jednak i klnę się, jak przed Bogiem, że jeśli miłosierdzie boże mnie nie opuści, nie tylko tę obietnicę, ale i największe przyrzeczenie wypełnię. Dlatego też żądaj ode mnie, czego chcesz, bowiem gdy tylko wolność odzyskam, słowo moje niechybnie zdzierzę.

Wówczas pielgrzym rzekł:

— Nie domagam się od ciebie niczego więcej, tylko abys przebaczył czterem braciom Tedalda to, że poczytując cię za mordercę Tedalda do tego stanu cię przywiedli, i abys gdy cię o wybaczenie poproszą, jako braci i przyjaciół ich przyjął.

— Nikt — odparł Aldobrandino — nie czuje tak słodczy zemsty i takiego jej pragnienia jak ci, których pokrzywdzono, jednakże chcąc, aby mnie Bóg wyzwolił, przebaczam im chętnie. Jeśli stąd żyw i cały wyjdę, na wszem twojej woli posłusznym będę.

Słowa te wielce się pielgrzymowi podobały, dlatego też poprzestał na tym, co rzekł. Dodał Aldobrandinowi jeszcze raz otuchy i poprosił go, aby nie upadał na duchu, gdyż nim minie dzień jutrzejszy, dowie się z wszelką pewnością o swym uwolnieniu. Po czym udał się wprost do Signorii<sup>103</sup> i rzekł do sędziego:

— Szlachetny panie, powinnością każdego człeka jest prawdę na jaśnie podawać, a w szczególności obowiązek ten ciąży na ludziach na urząd wysadzonych. Winni oni baczyć, aby kara nie spadała na tych, co są niewinni, jeno<sup>104</sup> na lotrów i złoczyńców. Przychodzę tu do was po to, aby się tak stało, ku sławie waszej i ku zgubie tych, co na nią zasłużyli.

Jak to sami dobrze wiecie, wielce surowie postąpiliście z Aldobrandinem Palermini, bowiem się wam zdało, że on to Tedalda degli Elisei zamordował. Śmiercią tedy<sup>105</sup> pokarać go chcecie. Dowiodę wam jednak, że w wielkim błędzie byliście, bowiem jeszcze przed północą oddam w wasze ręce prawdziwych zabójców młodzieńca.

Sędzia zacny, któremu los Aldobrandina na sercu leżał, uwierzył chętnie słowom pielgrzyma i o wszystko szczegółowo się go wypytał. Za jego wskazaniem pochwyciono w gospodzie bez walki dwóch braci oberżystów i ich sługę, kiedy ci byli w głębokim śnie pogrążeni. Gdy dla wydobycia prawdy chciano ich wziąć na tortury, wszyscy bez żadnych wybiegów przyznali się do zamordowania nieznanego im Tedalda. Badani o przyczynę zbrodni odpowiedzieli, że uczynili to dla zemsty, bowiem młodzieniec ów pod ich nieobecność w gospodzie chciał żonie jednego z nich gwałt zadać i siłą zmusić ją do tego, aby jego woli posłuszną była.

Pielgrzym, usłyszawszy te słowa, oddalił się za pozwoleniem urzędnika Signorii i niepostrzeżenie udał się do domu Ermelliny. Wszyscy już spali, czuwała tylko żona Aldobrandina, czekając na przybycie Tedalda. Równie była spragniona dobrych wieści o mężu co i pogodzenia się całkowitego z kochankiem.

Tedaldo, wszedłszy do komnaty, rzekł z wesołym obliczem:

— Raduj się, najdroższa moja, bowiem już jutro rano powitasz swego Aldobrandina, cieszącego się dobrym zdrowiem.

<sup>102</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>Signoria (z wł. *signore*: pan) — tu ogólnie: rząd; forma rządów w komunach miast śr. i pln. Włoch w okr. średniowiecza i renesansu, gdzie w okolicznościach sprzyjających wzmocnieniu władzy (np. wobec zewn. zagrożenia) przejmowali ją przedstawiciele bogatych rodów, uzyskując rozszerzone prerogatywy i utrzymując je dożywno lub przekazując swoim następcom. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

I ażeby ją dowodnie o tym przekonać, opowiedział jej o wszystkim, co w Signorii zaszło. Ermellina, niezmiernie uradowana tymi dwoma nieoczekiwanymi wypadkami: odnalezieniem Tedalda, którego za martwego poczytywała, i uratowaniem męża, którego śmierć już za kilka dni oplakiwać miała, rzuciła się Tedaldowi na szyję i uściskała go serdecznie. Później udali się pospołu do łoża i tam skwapliwie wesoły pokój zawarli, nie szczczędząc sobie rozkoszy. Gdy dzień nastał, Tedaldo podniósł się z pościeli, oznajmił kochance, co chce uczynić, i poprosił ją raz jeszcze, aby wszystko w głębokiej tajności zachowała. Później, ubrany w strój pielgrzymi, wyszedł z jej komnaty, aby się sprawami Aldobrandina zająć. Signoria, przeświadczona dowodnie o niewinności Aldobrandina, wypuściła go rychło na wolność, zaś morderców w kilka dni potem na miejscu zbrodni stracić kazała.

Aldobrandino znalazł się na swobodzie ku niewymownej radości swojej i żony, wszystkich krewniaków i przyjaciół. Pomnąc, że pielgrzymowi wolność zawdzięcza, ją<sup>106</sup> go prosić, aby przez cały czas pobytu w mieście w jego domu pozostał. Wszyscy starali się z całych sił uczcić go i ugościć należycie, osobliwie Ermellina, świadoma, że dla niej starań swych nie litował<sup>107</sup>. Po pewnym czasie Tedaldo zapragnął braci swych z Aldobrandinem pogodzić. Wiedział dobrze, że ci nie tylko nie uspokoili się, gdy Aldobrandino wolność odzyskał, ale nawet uzbroili się, obawiając się jego zemsty, i dlatego też poprosił gospodarza, aby dotrzymał obietnicy w więzieniu danej. Aldobrandino gotowość swoją okazał. Wówczas pielgrzym poprosił go, aby następnego dnia wspaniałą ucztę wydał, na którą przybyć mieli czterej bracia Tedalda wraz z swymi małżonkami, nie licząc krewniaków i przyjaciół Aldobrandina. Sam podjął się ich w jego imieniu na ucztę sprowadzić. Aldobrandino, gotów we wszystkim zadość mu uczynić, przystał na prośbę pielgrzyma, który natychmiast do swych braci się udał. Natrudziwszy się niemało, stosownymi słowy i argumentami nieodpartymi wreszcie ku temu ich przywiódł, że zgodzili się pójść do domu Aldobrandina, aby go o przebaczenie błagać i przyjaźń jego odzyskać. Następnego dnia koło południa zjawili się w domu Aldobrandina czterej bracia Tedalda, ubrani w szaty żałobne, w otoczeniu przyjaciół swoich. Gospodarz już ich oczekiwał. W przytomności<sup>108</sup> wszystkich zebranych rzucili oręż na podłogę i oddali się w ręce Aldobrandina, prosząc go, aby puścił w niepamięć krzywdy mu wyrządzone. Aldobrandino ze łzami uściskał ich serdecznie i każdego w usta ucałował mówiąc, że już żadnej urazy do nich nie żywi. Wkrótce zjawily się ich żony i siostry w ciemne stroje przyodziane, które Ermellina wraz z innymi niewiastami wdzięcznie powitała. Wszyscy byli ukontentowani z przyjęcia, bowiem uczta wspaniale wypadła, jeno<sup>109</sup> ciążyła im rzecz jedna: milczenie, którego przyczyną był świeży smutek, wyrażający się w żałobnych szatach rodziny Tedalda. Wielu nawet ganiło w duchu pielgrzyma za pomysł tej biesiady. Tedaldo domyślił się tego, a sądząc, że właściwy czas nadszedł, powstał od wieczerzy, gdy zajądano jeszcze owoce, i rzekł:

— Aby dzisiejsza uczta na wszem wesoła być mogła, brakuje nam tylko Tedalda. Ponieważ nie poznaliście go, gdy z wami przez cały czas tutaj bawił, chcę wam go teraz pokazać.

Przy tych słowach zrzucił z siebie pielgrzymie szaty i ukazał się oczom przytomnych w zielonym, strojnym kaftanie. Chociaż go poznano, przecie nikt nie mógł uwierzyć, że jest to Tedaldo we własnej osobie. Widząc powszechne osłupienie, Tedaldo przypomniał zebrany różne okoliczności ich tylko dotyczące i opowiedział im siła<sup>110</sup> przypadków swoich. Wówczas bracia i przyjaciele, łzami radości się zalewając, rzucili się mu w ramiona. Za ich przykładem poszły białogłowy, nawet i nie krewniaczki, krom<sup>111</sup> jednej tylko Ermelliny.

— Dlaczego, Ermellino, nie chcesz, jak inne, Tedalda powitać? — zapytał Aldobrandino.

<sup>106</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>starań swych nie litował — dziś: starań swych nie żałował. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>w przytomności (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>siła (daw.) — wiele, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

— Z całego serca powitać bym go pragnęła! — zawołała głośno Ermellina — i uczy-  
niłabym to ochotniej od innych, teraz go witających, bowiem obligowana mu jestem  
więcej niż kto bądź za to, że dzięki jego staraniom ciebie, Aldobrandino, odzyskałam,  
aliści<sup>112</sup> różne plotki i gadki kłamliwe, rozsiewane przez ludzi wówczas, gdyśmy rzeko-  
mego Tedalda oplakiwali, uczynić mi tego nie pozwalają.

— Daj pokój — odparł Aldobrandino — zali myślisz, że wierzę złym językom? Nie  
szczędząc starań, abym ja wolność odzyskał, dowiodł Tedaldo niezbitcie, że wszystko to  
były kłamstwa potwarcze, którym nigdy wiary nie dawałem. Zbliź się i obejmij go!

Dama, niczego bardziej nie pragnąca, nie omieszkła wypełnić rozkazu męża. Rzuciła  
się na szyję Tedaldowi, idąc za przykładem innych, i z radością go ucałowała. Wielko-  
duszość Aldobrandina wielce podobała się braciom Tedalda i wszystkim przytomnym.  
Usunęła też osad wszelki, jaki krążące pogłoski pozostawić mogły w umyśle niektórych.

Gdy tak każdy na widok Tedalda się radował, ów zerwał żałobne szaty z braci i siostr  
i rozkazał, aby im inne szaty przyniesiono. Przeodziawszy się, wiele pili, tańcowali i róż-  
nym igrom się oddawali, tak iż uczta, która się w milczeniu zaczęła, w powszechnej weso-  
łości się zakończyła. Wreszcie wszyscy przenieśli się do domu Tedalda, gdzie do wieczery  
zasiedli. Uroczystości trwały jeszcze przez dni kilka wpośród niesłabnącej radości i we-  
sela. Jednakże Florentczycy ciągle patrzyli na Tedalda jak na powstałego z grobu i dziw-  
jakowyś. W duszach ich, a nawet jego braci, czaiła się jeszcze nieśmiałość wątpliwa, zali to  
on jest w samej rzeczy Tedaldem. Być może, że ta wątpliwość nigdy by była nie zniknęła,  
gdyby nie zdarzył się wypadek, dzięki któremu odkryto, kto zabity został. Pewnego dnia  
obok domu Tedalda przechodzili żołnierze z Lunigiany. Obaczywszy Tedalda, podeszli  
do niego i rzekli:

— Jak się masz, Faziuolo!

— Bierzecie mnie widać za kogoś innego — odparł Tedaldo w obecności braci.

Żołnierze, słowa te usłyszawszy, zmieszali się i przeprosili go:

— Wybaczcie nam, panie, ale tak podobni jesteście do jednego z naszych towarzyszy,  
jak tylko człowiek do człowieka podobien być może. Zowią go Faziuolem z Pontremoli.  
Przybył on przed dwoma tygodniami do tego miasta i odtąd słuch o nim zaginął. Co  
prawda zadziwił nas nieco strój wasz, był bowiem żołnierzem jako i my.

Usłyszawszy to, starszy brat Tedalda podszedł do nich i zapytał:

— Jak był odziany wasz Faziuolo?

Żołnierze opisali swego towarzysza. Wówczas z tej oznaki, jako i z innych jeszcze,  
jawnym się stało, że zamordowany został nie Tedaldo, lecz Faziuolo. Znikły więc ostatnie  
wątpliwości w duszach braci i mieszkańców grodu. Tedaldo, który jako człek bogaty do  
miasta powrócił, pozostał wierny miłości swojej. Ermellina już wspan jego chęciom nie  
stawała. Dzięki swojej czujności i roztropności przez długie lata jeszcze miłością swoją się  
cieszyli. Oby Bóg i nam tak się cieszyć pozwolił!''

## OPOWIEŚĆ ÓSMA. FERONDO W CZYŚĆCU

*Ferondo, połknąwszy pewien proszek, zostaje pogrzebany jako człek wrzekomo martwy. Opat,  
cieszący się tymczasem wdziękami jego żony, dobywa go z grobowca i przenosi do lochu, który  
Ferondo za czystiec poczytuje. Później Ferondo zmartwychwstaje i syna, którego opat z żoną  
jego splodził, wychowuje jako własnego.*

Opowieść Emilii, pomimo swej długości, nie znudziła nikogo. Przeciwnie, wszyscy  
zaręczali, że tylu różnych zdarzeń z większą zwięzłością przedstawić było nie lza<sup>113</sup>. Po  
czym królowa uwiadomiła Laurettę skinieniem o życzeniu swoim; Lauretta w te słowa  
zaczęła:

— Miłe damy! Pragnęłabym przede wszystkim opowiedzieć wam o pewnym zdarze-  
niu, które raczej na kłamliwy wymysł niżli na prawdę wygląda. Przypomniałam sobie  
o nim, usłyszawszy, jak to jeden człek pogrzebiony i oplakany miasto<sup>114</sup> drugiego został.

<sup>112</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>nie lza — nie wolno, nie można; tu: niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>miasto (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

Teraz opowiem wam o przypadkach żywego człowieka, którego pochowano, aby go później już nie za żywego, lecz za zmarłych uważano. On sam, jako i wielu innych, twierdził, że z grobu powstał. Ten zaś<sup>115</sup>, co na należną karę zasługiwał, jako święty odtąd był czczony.

„Było w Toskanii pewne opactwo, które po dziś dzień jeszcze tam istnieje. Leżało ono, jak to często się zdarza, w okolicy odludnej. Opatem został tam obrany pewien mnich, człowiek we wszystkim świętobliwy i przykładny, grzeszący jeno<sup>116</sup> niepomiernym pociąganiem do białogłowskiego pogłowa. Umiał jednak tak ostrożnie i chytrze poczynić sobie, że nikt nie wiedział o jego słabości ani jej nawet nie podejrzewał i wszyscy za wzór cnót go uważali. Zdarzyło się, że z opatem zaprzyjaźnił się wielce pewien bogaty kmicz, Ferondem zwany. Był to człowiek gruby i jedynie swą korzyść własną mający na celu. Opat lubił przestawać w jego towarzystwie tylko dlatego, że prostactwo Feronda nieraz wiele wesołości mu przyczyniało. Świętobliwy mąż zauważył, że Ferondo ma za małżonkę wielce urodziwą białogłową, i wkrótce tak się w niej zakochał, że dniem i nocą o niczym innym myśleć nie mógł. Wiedząc jednakże, że Ferondo, wielki głuptak i prostak we wszystkich sprawach, jest chytrym i przebiegłym, jeśli o pilnowanie żony chodzi, zwątpił już niemal w skuteczenie pragnień swoich. Jednakże jako człowiek przemyślny, tyle na Ferondzie wymógł, iż ten pospołu z swoją żoną nieraz zachodził do ogrodu klasztornego, aby w nim przechadzki zażywać. Tutaj z wielkim namaszczeniem prawił im o szczęśliwości przyszłego życia i o świętobliwych uczynkach zmarłych, tak mężczyzn, jak i kobiet. Opowieści te natchnęły żonę Feronda chęcią wyznania się przed opatem, na co łatwo pozwolenie od męża swego uzyskała; ku wielkiemu ukontentowaniu opata zjawiała się pewnego dnia u niego, usiadła u jego stóp i rzekła w te słowa:

— Wielebny ojcze! Gdyby Bóg był mnie prawdziwym mężem obdarzył albo bez męża ostawił, wierę<sup>117</sup>, nietrudno by mi było dzięki waszym pouczeniom wstąpić na drogę, która, jak mówiliście, ku wiecznemu żywotowi wiedzie. Aliści wzięwszy pod rozwagę, jakim człowiekiem jest mój Ferondo i jak wielka jest jego głupota, mogę się za wdowę poczytywać. Jednakże zameżna jestem, bowiem póki on żyje, drugiego męża wziąć sobie nie mogę. Ferondo, tępe przyrodzenie<sup>118</sup> mając, bez żadnej przyczyny jest o mnie zazdrosny okrutnie, dzięki czemu żyję w nieustannej udręce, z mężem mym skłócona. Dlatego też, nim do spowiedzi przystąpię, proszę was pokornie, ojcze wielebny, abyście mi jakiejś rady udzielili. Jeśli nie będę miała możliwości postępować dobrze, zgodnie z wolną wolą moją, na niewiele mi się zda cała spowiedź.

Wyznanie to niepomiernie uradowało opata, zdało mu się bowiem, że los otwiera mu drogę wiodącą do spełnienia najgorętszych jego pragnień.

— Moja córko — rzecze — łatwo mi pojąć, że tak pięknej i subtelnej białogłowie, jak wy, ciężko jest być żoną półgłówka, a cóż dopiero zazdrośnika! Ponieważ w osobie waszego męża głuptak z zazdrośnikiem się łączy, więc nie dziwuję się wcale waszym skargom. Mówiąc węzłowato, nie widzę innej rady i środka krom<sup>119</sup> tego, aby Ferondo zazdrości swojej się oduczył. Lek stosowny i skuteczny dlań dobrze przygotować umiem. Proszę was jeno, abyście słowa moje w najgłębszej zachowali tajności.

Białogłowa odparła na to:

— Nie wątpcie o tym, mój ojcze! Raczej umrę, niżli powtórzę komuś słowa wasze. Ale jakże tego dokonać?

— Jeśli chcemy, aby Ferondo się uleczył — rzekł opat — musi on czas niejaki w czyszceniu spędzić.

— Jak to? — zawołała niewiasta — zali może się tam dostać za życia?

— Należy tedy<sup>120</sup>, aby pierwaj umarł, a wtedy tam pójdzie. Gdy już tyle katusz przecierpi, że się swojej zazdrości oduczy, my szczególnymi modlitwami będziemy prosili Boga, aby go do życia powrócił, co Bóg, ani chybi, uczyni.

— Zatem — rzekła białogłowa — przyjdzie mi żyć w wdowieńskim stanie?

<sup>115</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>przyrodzenie (daw.) — tu: natura, charakter. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

— Tak — odparł opat — przez czas niejaki, w ciągu którego winniście to pilnie mieć na pieczy, aby w stadło małżeńskie z kimś innym nie wstąpić, Bóg bowiem ukarałby was za to, a gdy Ferondo przybyłby z czyścica, musielibyście do niego powrócić, on zaś stałby się jeszcze większym zazdrośnikiem.

— Gotowa jestem na wszystko — rzecze białogłowa — byleby się tylko od szkaradnej swej wady oswobodził i abym nie potrzebowała żyć nadal jak w więzieniu.

— Uczynię, co w mojej mocy leży — odparł opat — jakąż nagrodę jednak za tę przysługę od was otrzymam?

— Żądajcie, czego chcecie, ojcze wielebny — rzekła żona Feronda — bylebym tylko była w stanie życzenia wasze wypełnić. Aliści cóż może ofiarować taka jak ja białogłowa mężowi tak dostojnemu jak wy?

— Możecie mi uczynić łaskę równą tej, którą ja wam wyświadczyć pragnę. Jeśli bowiem chcę was pociechą i szczęściem obdarzyć, wy możecie stać się zbawieniem i radością życia mojego.

— Skoro tak jest, wszystko gotowam uczynić — odparła białogłowa.

Wówczas opat rzekł:

— Oddajcie mi zatem miłość swoją i swoje ciało, bowiem płonę pożądaniem, trawiąc się nieugaszonym ogniem.

Białogłowa usłyszawszy to całkiem osłupiała.

— Ach, cóż ja słyszę, ojcze czcigodny! Miałam was dotychczas za świętego! Zali się godzi świątobliwym mężom takich rzeczy żądać od kobiet, które przychodzą prosić ich o radę?

Na to rzekł opat:

— O duszo mojej duszy! Nie dziwujcie się temu, bowiem świętość nijakiego uszczerbku przez to nie ponosi; żyje ona przecie w głębi duszy, zasię to, czego się od was domagam, jest grzechem ciała. Zresztą jakkolwiek by było, wielka piękność wasza taką władzę nade mną sprawia, że miłość każe mi tą modłą postępować. Powiem wam także, iż możecie się chępliwie swoją urodą bardziej niż inne białogłowy, bowiem znajdują w niej upodobanie święci, przywykli do oglądania cudów nieba. Wreszcie, będąc opatem, człkiem przez to być nie przestaję, a jak widzicie, do wieku szedziwego jeszcze mi daleko. Wierę<sup>121</sup>, nie będzie wam trudno prośbę moją wypełnić, przeciwnie, winniście całą duszą pragnąć tego, czego i ja pragnę. W czasie pobytu Feronda w czyścicu, będę wam nocami towarzystwa dotrzymywał i tym samym pocieszeniem co mąż was obdarzał. Nikt o tym się nie dowie, wszyscy bowiem mają o mnie takie przynajmniej mniemanie, jakie wyście mieli przed chwilą. Nie odrzącajcie łaski, jaką was Bóg obdarza. Siła jest tych, którzy gorąco pragną tego, co wy mieć możecie i co będziecie mieli, jeżeli rozumnie postąpicie wedle rad moich. Krom tego, posiadam niemało pięknych i szacownych klejnotów, które w duszy już dawno dla was przeznaczyłem. Uczynicie zatem, słodka nadziejo moja, to dla mnie, co ja dla was ochotnie uczynić pragnę.

Białogłowa opuściła oczy, nie wiedząc, jak odmówić prośbie opata, bowiem rzeczą wielce nieprzystojną wydawało jej się na życzenie to przystać. Opat widząc, że się z *responsem*<sup>122</sup> ociąga, to mniemanie powziął, że już do połowy jest nawrócona, dlatego też do poprzednich przełożeń siła<sup>123</sup> nowych przydał i nie odpuścił wprzód niewiasty, póki jej twardo nie przekonał, że zbożne dzieło uczyni. Odrzekła mu więc, srodze zasromana<sup>124</sup>, że będzie na wszem jego woli posłuszna, ale dopiero wówczas, gdy Ferondo już się w czyścicu znajdzie.

Opat, wielce tym ukontentowany, rzekł:

— Uczynimy tak, aby nieodwłocznie tam się udał. Postarajcie się tylko, aby Ferondo jutro albo innego dnia mnie odwiedził.

To rzekłszy, wsunął jej ukradkiem na palec pierścień wspaniały i odejść jej pozwolił. Białogłowa, wielce upominkiem uradowana i pewna, że nie skończy się na tym, udała się do swych przyjaciółek, aby opowiedzieć im zadziwiające rzeczy o świątobliwości opata. Później w ich towarzystwie do domu powróciła.

<sup>121</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>response (daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>siła (daw.) — wiele, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>zasromany (daw.) — zawstydzony. [przypis edytorski]

Po kilku dniach Ferondo zaszedł do klasztoru. Opat ujrawszy go postanowił nie zwlekać z wysłaniem go do czyścica. Wyszukał proszek cudownej mocy, który ongiś otrzymał na Wschodzie od pewnego potężnego księcia. Księżę ów twierdził, że proszku tego używa Starzec z gór, ilekroć chce kogoś w śnie pogrążonego do raju wyprawić lub też go stamtąd sprowadzić. Proszek ten, w określonej ilości zażyty, bez nijakiego dla zdrowia szwanku usypia każdego, komu go zadano, i spać mu każe przez dłuższy albo krótszy czas tak krzepko, że w uspiętym najmniejszej iskierki życia odnaleźć nie można. Opat wziął taką miarę proszku, aby trzydniowy sen sprawiła. Wsypał ukradkiem proszek do kielicha z mętnym jeszcze winem i poczęstował nim Feronda w swojej celi. Później wyszedł z nim na korytarz klasztorny i tam pospołu z innymi mnichami jął<sup>125</sup> się z jego głupoty wydwarzać. Po niejakiem czasie proszek skutek swój sprawił. Feronda tak krzepki sen chwycił, że jeszcze na nogach stojąc, wpadł w drzemkę, a później w uspieniu na ziemię się zwałił. Opat uczynił pozór, że wielce się tym wszystkim turbuje; natychmiast też kazał Feronda z szat rozdziać, zimną wodą go orzeźwiać, krom<sup>126</sup> tego i innych środków nie zaniedbał, tak jakby chciał uspiętego do utraconych zmysłów powrócić i od złych humorów żołądka czy też innej dolegliwości uwolnić. Gdy jednak mnisi obaczyli, że wszystkie te usiłowania na nic się nie zdają, pomacali mu puls, a przekonawszy się, że nie uderza, do tej myśli przyszli, że Ferondo, ani chybi, umarł. Wówczas posłali po żonę i po krewniaków umarłego, którzy nie mieszkając<sup>127</sup> do klasztoru przybyli. Gdy już żona i krewniacy nad trupem trochę łez uronili, opat kazał go złożyć do grobowca w odzieniu, jakie miał na sobie.

Żona powróciła do domu oznajmiając, że nie myśli z tych stron się oddalać, bowiem nie chce rozłączać się z małym dziećciem, jakie z nim miała. Ostała więc w domu i majątkościami jako też synem Feronda kierować ją. Opat zasię<sup>128</sup>, przybrawszy sobie do pomocy pewnego bolońskiego mnicha, w którym wielką ufność pokładał, podkraść się w nocy cichaczem do grobu Feronda. Wyciągnęli go stamtąd i przenieśli do ciemnego lochu, dokąd najmniejszy promień światła dostać się nie mógł i gdzie zamykano za karę mnichów. Zdjąwszy z Feronda szaty, przybrali go w habit zakonny, później zasię położyli go na wiązce słomy i ostawili tak, aby leżał w lochu, póki się nie ocknie. Mnich z Bolonii, otrzymawszy od opata pouczenie, co mu czynić należy, jął czekać, aż Ferondo do utraconych zmysłów powróci. Nikt inny nic o tym nie wiedział. Następnego dnia opat w towarzystwie kilku mnichów udał się do domu wdowy, aby pocieszyć ją w jej strapieniu. Zastał ją w żalobnych szatach i w ciężkim smutku. Pocieszywszy ją nieco, przypomniał jej cichym głosem o danej mu obietnicy. Białogłowa, czując się uwolnioną od Feronda i wiedząc, że mąż ani ktokolwiek już nijak wstrętów czynić jej nie będzie, ujrawszy inny piękny pierścień na palcu opata, rzekła, że jest na wszystko gotowa. Ułożyli, że opat odwiedzi ją następnej nocy. Gdy zmrok zapadł, opat w towarzystwie swego mnicha, ubrany w szaty Feronda, udał się do jego żony. Całą noc aż do jutrzni na rozkosznych igrach i harcach spędzili. Później opat do klasztoru powrócił. W przyszłości nieraz jaszczkę tę samą drogę odbywał. Widywano, jak szedł do wdowy albo od niej powracał, aliści<sup>129</sup> wszyscy byli przekonani, że to duch Feronda wałęsa się za pokutę w okolicach swego domu. Pośród grubych wieśniaków jęły chodzić gadki, o których zasłyszała parokroć także żona Feronda, wiedząca, co ma sądzić o tej zadziwiającej rzeczy.

Tymczasem Ferondo ocknął się i żadną miarą dorożumieć się nie mógł, gdzie się znajduje. Wówczas przystąpił doń mnich boloński, przemawiający straszonym głosem i różgi w rękach dzierzgący. Schwyciwszy Feronda za kark, z wszystkich sił okładać go począł. Ferondo, płacząc i wrzeszcząc, pytał ustawicznie:

— Gdzie jestem?

Na co mnich odpowiedział:

— Znajdujesz się w czyścicu!

— Jak to — jęknął Ferondo — więc umarłem?

— Naturalnie — odparł mnich.

<sup>125</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

Ferondo, usłyszawszy te słowa, jął gorzko płakać nad sobą, żoną i synem, mówiąc przy tym różne androny. Później mnich przyniósł mu trochę stawy i wina. Co widząc, Ferondo zawołał:

— Dla Boga! Więc umarli jadają?

— Tak — odrzekł mnich — stawę, którą ci teraz przynoszę, przysłała dzisiejszego ranka do klasztoru twoja dawna żona, prosząc o mszę za twoją duszę. Bóg to jedzenie dla ciebie przeznaczył.

— Niech jej Bóg za to pomyślny rok ześle. Wielki afekt do niej za życia żywiłem, całe noce trzymałem ją krzepko w objęciach, całowałem ją, a także i coś więcej z nią czyniłem, kiedy miałem na to ochotę.

Potem, poczuwszy wielki głód, Ferondo rzucił się na stawę i jeść, i pić począł. Nie znalazłszy dobrego smaku w winie, rzekł:

— A skarż ją, Panie Boże, za to, że nie przysłała mnichom wina z beczki stojącej pod murem.

Gdy już Ferondo podjadł sobie niezgorzej, mnich znowu go za kark ułapił i tymi samymi różgami uczciwą łaźnię mu sprawił. Ferondo, nawrzeszczawszy się do woli, zapytał:

— Za co mnie tak srodze karzesz?

— Czynię to z bożego rozkazu — odparł mnich. — Dwa razy na dzień czeka cię podobne garbowanie skóry.

— Dla jakiej przyczyny? — jęknął Ferondo.

— Ponieważ byłeś zazdrośnikiem, mając za żonę najlepszą na całym świecie białogłowę.

— Biada mi, biada! — wykrzyknął Ferondo — prawdę powiadasz, była to bowiem najlepsza kobieta, a do tego jak marcepan słodka. Nie wiedziałem jeno<sup>130</sup>, że Bóg zazdrośnych mężów cierpieć nie może.

— Trzeba było rozważyć to i poprawić się — odparł mnich — gdyś jeszcze na świecie przebywał. Jeżeli jednak zdarzyć by się miało, że jeszcze kiedyś na ziemię powrócisz, to zakonotuj sobie dobrze, co teraz z tobą się dzieje, i strzeż się zazdrości jak ognia.

— Zaliż umarli zmartwychwstają? — spytał Ferondo.

— Tak, jeżeli taka jest wola boska — powiedział mnich.

— Och! — zawołał Ferondo — jeśli kiedykolwiek na świat powrócę, stanę się jak najlepszym mężem; nigdy nie będę bił żony, nie powiem jej nigdy plugawego słówka, chyba tylko w zapłatę za to podle wino, które mi dzisiaj przysłała. Przeczże jednak zapomniiała o świecy? Musiałem jeść po ciemku.

— Żona twoja przysłała ci i świecę — rzekł mnich — jeno świece te wypaliły się przy mszy.

— Wierzę we wszystko, co powiadasz — odparł Ferondo — i dalibóg, jeżeli ją jeszcze kiedyś zobaczę, pozwolę jej czynić, co sama zechce. Powiedz mi jednak, kim jesteś ty, co się tak nade mną znęcasz?

— Jestem także nieboszczykiem — rzekł mnich — urodziłem się na Sardynii; ponieważ za życia często pochylałem, gdy pan mój był zazdrośny, Bóg taką mi karę naznaczył: mam ci podawać stawę i napój i okładać cię różgami, póki Bóg o nas obu inaczej nie postanowi.

— Zali nie ma tu nikogo krom<sup>131</sup> nas dwóch? — spytał Ferondo.

— Tysiące potępieńców w czyścju cierpią — odparł mnich — aliści<sup>132</sup> usłyszeć i obaczyć ich nie możesz tak, jak i oni ciebie.

— A czy dalekośmy od naszych stron? — pytał dalej Ferondo.

— Ho! ho! Kopę<sup>133</sup> mil za Osranowem!

— Tam do licha! To daleko! Wydaje mi się, że musimy być już kawał drogi poza światem!

Ferondo, źle żywiony i ćwiczony różgami na schwał, podobne dyskursy tocząc przepędził w lochu dziesięć miesięcy. Tymczasem wielce szczęśliwy opat odwiedzał nieustannie

<sup>130</sup>*jeno* (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>*krom* (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>*aliści* (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>*kopa* (daw.) — sześćdziesiąt. [przypis edytorski]



jego piękną żonę i figlował z nią do woli. Wreszcie, jak to niefortunny los sprawia, niewiasta zaszła w ciążę i szybko to spostrzegłszy, wyznała rzecz opatowi. Za czym oboje do tej myśli przyszedli, że Ferondo winien czym prędzej z czyścica na ziemię powrócić, by powiedzieć mogła, że on był sprawcą jej ciąży. Dlatego też następnej nocy opat zbliżył się do lochu i zawołał zmienionym głosem:

— Bądź dobrej myśli, Ferondo, bowiem podobało się Bogu, abyś na świat powrócił. Po twoim powrocie żona twoja powije ci syna, którego nazwiesz Benedyktem. Łaskę tę zawdzięczasz modłom świątobliwego opata i żony twojej oraz szczególnej miłości świętego Benedykta.

Ferondo, słowa te usłyszawszy, wielce się uradował i rzekł:

— Niech Stwórca udzieli wszystkiego najlepszego Panu Bogu, świętemu Benedyktovi, opatowi i mojej żonie, miodowej, cukrowanej i pulchnej.

Opat, wysypawszy mu do wina proszku, tak aby Feronda czterogodzinny sen zmorzył, odział go w dawne szaty i przy pomocy mnicha przeniósł go do grobowca, w którym go pochowano.

Nazajutrz o świcie Ferondo ocknął się i obaczył przez szczelinę w grobowcu światło, którego od dziesięciu miesięcy nie widział. Zdało mu się, że do życia powrócił, i dlatego wrzeszczeć począł:

— Otwórzcie, na Boga, otwórzcie!

Później naparł tak silnie głową na głąz zamykający grobowiec, że go z wolna usunął. Gdy się tak trudził, mnisi odprawiający właśnie modlitwy poranne przybiegli do grobowca. Poznali głos Feronda i ujrzeni go wychodzącego z grobu. Srodze tym wszystkim przerażeni, rzucili się do ucieczki i do opata pobiegli. Ów udając, że właśnie modlitwę kończy, rzekł:

— Nie trwóście się, dzieci moje, weźcie krzyż i wodę święconą i pójdźcie za mną. Obaczymy, co Bóg wszechmogący chce nam objawić.

Ferondo, wielce blady, jak człek, który dawno światła słonecznego nie oglądał, wy dobył się tymczasem z grobowca, a ujrawszy opata, padł przed nim na kolana i zawołał:

— Czcigodny ojcze! Jak mi objawiono, modlitwy wasze, świętego Benedykta i mojej żony uwolniły mnie od mąk czyścicowych i do życia mnie powróciły. Niechże wam Bóg odtąd we wszystkim błogosławi, teraz i zawsze.

— Niechaj Bóg będzie na wieki pochwalony! — zawołał opat. — Idź, mój synu, cudem do życia powrócony, i pociesz żonę swoją, która od dnia, gdyś zszedł z tego świata, we łzach nieutulonych tonęła. Idź i staraj się odtąd godnie Bogu służyć.

— Dobrą naukę, przewielebny ojcze, odebrałem w czyścicu — odparł Ferondo — pozwólcie mi jeno<sup>134</sup> żonę obaczyć, a będę ją całował i pieścił bez końca, całą duszą bowiem ją miłuję.

Opat, udając wielkie zadziwienie, zostawszy sam z mnichami, kazał im zaśpiewać *Miserere*.

Ferondo powrócił do swej wsi; każdy, kto go obaczył, uciekał przed nim jak przed najokropniejszym monstrum. Ferondo wołał za wszystkimi w ślad, że zmartwychwstał. Żona jego także się srodze z początku zestrachala. Później jednak, gdy ludzie już nieco do Feronda przywykli i upewnili się, że jest on żyw, jęli się go o różne rzeczy wypytywać. Ferondo, któremu w czyścicu jakby nieco rozumu przybyło, opowiadał wszystkim nowiny o duszach krewniaków i zmyślał najcudowniejsze baśni o życiu za grobem. Powtarzał także w przytomności<sup>135</sup> wielu ludzi o objawieniu archanioła Gabriela, które przed swym zmartwychwstaniem odebrał.

Po czym powrócił z żoną do domu, majątność swoją w posiadanie objął i jak mu się zdało, małżonkę ciężarną uczynił. Zdarzyło się, że w oznaczonym czasie (według mniemania głupców, którzy sądzą, że białogłowa dokładnie przez dziewięć miesięcy dziecko w żywocie nosi) żona Feronda powiła syna, który na chrzcie świętym imię Benedykta otrzymał.

Powrót Feronda i jego opowieści powiększyły jeszcze sławę świątobliwego opata, jako że każdy bez mała wierzył w zmartwychpowstanie kmiotka. Ferondo, który dla swej

Mąż, Żona, Dziecko

<sup>134</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>w przytomności (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]

zazdrości siła<sup>136</sup> plag otrzymał, teraz całkiem się ze swej wady uleczył i już nigdy odtąd zazdrosny nie był, tak że spełniła się obietnica dana żonie jego przez opata. Żona jego, wielce z tego ukontentowana, żyła z nim w przykładowej zgodzie, nie zaniedbując jednak, ilekroć się dało, nagradzać świątobliwego opata, który w najcięższych przypadkach tak chętnie i dobrze pomoc jej swą okazał”.

## OPOWIEŚĆ DZIEWIĄTA. GILETTA Z NARBONNY

*Giletta z Narbonne uzdrawia króla francuskiego z fistuły i domaga się za męża Beltrama z Roussillonu. Ów, poślubivszy ją wbrew swojej woli, pełen gniewu, do Florencji wyjeżdża, gdzie rozmiłowuje się w pewnej dziewicy. Mniemając, że jest z umiłowaną, z Giletą w łóżu spoczywa i obdarza ją dwoma synami. Później pokochawszy ją, jako z małżonką swoją szczęśliwie z nią żyć poczyna.*

Teraz, ze względu na przywilej Dionea, którego naruszyć nie chciała, miała opowiadać jeszcze tylko królowa. Gdy więc nowela Lauretty została doprowadzona do kresu, nie czekając, aż ją prosić zaczną, rzekła w te słowa:

— Któż teraz, wysłuchawszy opowieści Lauretty, będzie umiał opowiedzieć nowelę, która by powszechny aplauz znalazła? Dobrze się stało, że nie uraczono nas nią na samym początku, bowiem później niewiele opowieści do smaku by nam przypadło. Zapewne, i te, które jeszcze dzisiejszego dnia do opowiedzenia pozostają, niezbyt zachwalane będą. Mimo to jednak opowiem wam o zdarzeniu, które mi w związku z naszym tematem na myśl przyszło.

„W królestwie francuskim żył niegdyś pewien szlachcic, zwany Isnardem, grabią z Roussillonu. Ów, na zdrowiu wielce szwankując, trzymał przy sobie zawsze medyka, mistrza Gerarda z Narbonne. Grabia z Roussillonu miał malutkiego synaczka, jedynaka, imieniem Beltram. Wraz z tym urodziwym i przymilnym chłopcem wychowywało się wiele rówieśnych dzieci, wśród których znajdowała się także córka medyka, Giletą zwana. Dzieweczka ta rozmiłowała się w Beltramie bardziej, niżli to na wiek jej młody przystało. Po śmierci grabi Beltram, pod opieką królewską pozostały, musiał do Paryża się udać. Młódka pogrążyła się w niewymownym smutku. Wkrótce i jej ojciec zszedł z tego świata. Gdyby stosowny pozór miała, z wielką chęcią do Paryża by wyruszyła, aby Beltrama obaczyć. Znajdując się jednak pod srogim nadzorem, jako że ze swymi bogactwy sama na świecie pozostała, nie mogła żadnej wymówki znaleźć. Doszedłszy do lat niewieści, nie była w stanie o Beltramie zapomnieć i odmawiała wszystkim zalotnikom, z którymi ją krewniacy swatali, żadnych racji nie podając. Gdy Giletta miłością swą nieszczęsną do Beltrama bardziej niż kiedykolwiek gorzała (doniesiono jej bowiem, że stał się już urodziwym młodzieńcem), nagle doszły ją słuchy, że król francuski wskutek wrzodu na piersi, źle przez medyków zaleczonego, dostał fistuły, która mu wielkich boleści i niepokoju przyczyniała. Na domiar złego król nie znajdował lekarza, który by mógł mu jakieś ulżenie sprawić. Starania wszystkich jeno<sup>137</sup> niemoc jego pogarszały. Dlatego też król, do rozpaczki przywiedziony, od nikogo więcej pomocy ani rady przyjmować nie chciał.

Wiadomość ta niezmiernie młódkę uradowała, bowiem nadarzał jej się pozór wyjazdu do Paryża, a przy tym spodziewała się, że jeśli choroba króla taką się okaże, jaką jej się wydała, to uda jej się łatwo Beltrama za męża pozyskać. W tym celu więc, będąc już przez swego ojca w kunszcie medycznym wycwiczona, przygotowała z różnych ziół i korzeni stosowny proszek, siadła na koń i do Paryża się udała. Przede wszystkim postarała się obaczyć Beltrama; później stanąwszy przed królem, jako o osobną łaskę poprosiła, aby jej naturę swej niemocy wyjawil. Król, obaczywszy urodziwą i powabną dziewczeczkę, nie chciał jej odmówić i odkrył przed nią cierpiące miejsce. Giletta, przyjrząwszy się ranie, już za pewne to miała, że ją wyleczy, i dlatego też rzekła:

— Jeśli się zgodzicie, królu mój i panie, to przy pomocy boskiej uwolnię was od tej choroby w ciągu tygodnia, nie przyczyniając wam najmniejszego bólu czy dolegliwości.

<sup>136</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

Król roześmiał się w głębi duszy na te słowa i rzekł do się: »Tego, czego nie mogli sprawić najtężsi na świecie medycy, miałaby dokonać jedna młoda białogłowa?«. Podziękowawszy przeto Giletcie za jej cne usługi, odparł, że postanowił już niczyjej rady lekarskiej nie zasięgać.

— Wydwarzacie się, panie, z mojej umiejętności — odparła młódka — ponieważ jestem kobietą, a do tego wielce młoda. Zwracam wam jednak uwagę, że nie własną sciencją<sup>138</sup>, ale kunsztem mistrza Gerarda z Narbonne, ojca mojego i sławnego niegdyś medyka, przy pomocy boskiej wyleczyć was zamierzam.

Wówczas król pomyślał sobie: »Może być, że w samej rzeczy Bóg mi ją tu przysyła. Dlaczego miałbym jej sztuczki nie wypróbować, zwłaszcza że, jak sama powiada, nie przysparzając mi cierpienia, w krótkim czasie mnie wyleczy.«

Postanowiwszy więc dokonać próby, rzekł w te słowa:

— Jeżeli złamię dla cię swoje postanowienie, a ty mnie do zdrowia nie powrócisz, cóż się ma stać z tobą za karę?

— Każcie mnie, panie, wziąć pod straż — odparła młódka — abym, jeśli w ciągu tygodnia was nie wyleczę, na stosie spalona została. Jeżeli jednak wam zdrowie powróce, jakąż nagrodę otrzymam?

— Wydajesz mi się jeszcze niezamężną — rzekł król — jeśli więc obietnicę swoją ziszczisz, obdarzymy cię znacznym i szlachetnym małżonkiem.

— Królu — odparła Giletta — zaiste szczęśliwą będę, jeśli mnie za mąż wydacie, pragnę jednak wybrać sobie małżonka według swej woli, wykluczając synów waszych i wszystkich członków królewskiego domu.

Król obiecał, że jej życzenie spełni.

Wówczas dziewczeczka do leczenia przystąpiła i wkrótce, jeszcze przed oznaczonym czasem, powróciła królowi zdrowie. Król, czując się uzdrowionym, rzekł:

— Zasłużyłaś w pełni na przyobiecane ci męża.

— Jeżeli tak, miłościwy panie — odparła Giletta — to znaczy, zasłużyłam na Beltrama z Roussillonu, którego jeszcze w dzieciństwie pokochałam, aby do tych pór niezmienną miłością go darzyć.

Spełnienie tego żądania niemałą rzeczą królowi się zdało, jednakże, raz dawszy słowo, nie chciał go teraz łamać, dlatego też kazał przywołać Beltrama i rzekł doń:

— Jesteś już żralym<sup>139</sup> mężem, Beltramie! Wolą moją jest, abyś powrócił w swoje strony i grabiostwem swoim sam rządzić zaczął, a przy tym zabrał z sobą pewną panienkę, którą ci za żonę przeznaczam.

— Któż jest tym dziewczęciem? — zapytał Beltram.

— Ta, której umiejętności zdrowie swoje zawdzięczam — odparł król.

Beltram, który już Gilette widział, chociaż bardzo urodziwą ją znalazł, znając jej stan niski, na wszem przeciwny jego znacznemu rodowi, odparł gniewnie:

— Chcecie mi dać za żonę znachorkę, miłościwy panie? Strzeż mnie, Boże, abym kiedykolwiek podobną małżonkę miał do domu mego wprowadzić!

— Pragniesz więc do tego mnie przywieść, abym złamał me słowo, dane dziewczeczce, która mnie wyleczyła i która w nagrodę za swe usługi zażądała cię na męża? — spytał król.

— Możecie mi odjąć wszystko, co posiadam — odparł Beltram — i jako podwładnego swego oddać mnie, komu się wam podoba, ale zaręczam wam, że nigdy nie będę w takim stadle szczęśliwy.

— A ja mniemam całkiem przeciwnie — rzecze król — bowiem dziewczeczka jest urodziwa i rozumna wielce, a do tego gorąco cię miłuje. Pewien jestem, że będziesz z nią szczęśliwszy niżli z jakąś damą ze znacznego rodu.

Beltram umilkł, słowa te usłyszawszy, a król tymczasem polecił czynić wielkie przygotowania na uroczystość zaślubin.

Wkrótce nadszedł dzień ślubu. Beltram, aczkolwiek niechętnie, w przytomności<sup>140</sup> króla pojął za żonę dziewczeczkę, gorąco go miłującą. Po ślubie, zgodnie z powziętym wprzód postanowieniem, oznajmił, że pragnie do swego grabiostwa powrócić, aby w swych

<sup>138</sup>sciencja (daw.) — mądrość, wiedza. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>żraly (daw.) — dojrzały. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>w przytomności (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]

majątnościach żyć z młodą żoną pospołu. Otrzymałszy pozwolenie króla, siadł na koniu i miast<sup>141</sup> w swoje strony, do Toskanii się udał. Wiedząc, że Florentczycy w tym czasie z Sienieńczykami wojnę toczyli, ofiarował im swoje usługi. Florentczycy z radością i z oznakami wielkiej czci go przyjęli i mianowali go dowódcą oddziału żołnierzy, znaczny żołd mu wyznaczając. Beltram przez dłuższy czas u nich na służbie pozostawał.

Młoda żona tymczasem, niezbyt uradowana takim obrotem sprawy, a jednocześnie nadzieją żywiąca, że tym, co zdziała, uda jej się Beltrama do domu sprowadzić, udała się do Roussillonu, gdzie wszyscy jako grabinię ją przyjęli. Znalazłszy tutaj wszystko w wielkim nieładzie z powodu długiej nieobecności grabiego, starań i pracy nie litując<sup>142</sup>, porządek z powrotem ustanowiła. Poddani jej, wielce z tego zadowoleni, przychylnością niepomierną ją darzyli i grabiemu za złe mieli jego niechęć do żony. Przywiódłszy do porządku wszystkie sprawy w majątnościach, Giletta uwiadomiła o tym męża przez dwóch dworzan, prosząc go, jeśli jej obecność od powrotu do domu go wstrzymuje, aby jej doniósł o tym, a ona natychmiast, woli jego posłuszna, z tych stron się oddali.

Grabia dał wysłańcom twardą odpowiedź:

— Niechaj moja żona czyni, co chce. Co się tyczy mego powrotu, to on prędzej nie nastąpi, aż Giletta będzie miała na palcu ten oto pierścień, a na rękach dziecię, przeze mnie spłodzone.

Pierścień ów miał grabia w wielkiej cenie i nigdy się z nim nie rozstawał dla tajemniczej mocy, którą rzekomo klejnot ten posiadał. Dworzanie pojęli srogość kondycji<sup>143</sup>, składającej się z dwóch niemożliwych prawie rzeczy, wiedząc jednak, że słowami od postanowienia tego odwieść go nie zdołają, powrócili do damy i powtórzyli jej respons<sup>144</sup> grabiego.

Giletta, wielce strapiona, po dłuższym namyśle postanowiła spróbować, zali<sup>145</sup> się jej nie uda tych dwóch warunków wypełnić, i tą drogą męża odzyskać. Utwierdziwszy się w tym zamiśle swoim i dobrze ułożywszy, co jej czynić wypada, wezwała na naradę najstarszych i najrozumniejszych ludzi swego grabstwa i rozwijając rzecz umiejętnie, opowiedziała im rzewnymi słowami o wszystkim, co z miłości do grabiego uczyniła i jaką za to otrzymała nagrodę. Następnie odkryła im swój zamiśl, który był taki: wiedząc, że jej pobyt tutaj grabiego do wygnania przymusza, resztę swego życia poświęcić pragnie na pielgrzymki i dzieła miłosierne celem zbawienia duszy swojej. Prosiła przeto owych mężów, by grabiostwo pod swój zarząd wzięli i Beltrama jak najrychlej uwiadomili, że ona majątności jego opuściła z tym twardym postanowieniem, że już nigdy do Roussillonu nie powróci. Słyszając ją tak mówiącą, wszyscy przytomni łzami się zalewali i prosili ją gorąco, aby zamiśl swój odmieniła i w Roussillonie pozostała, aliści<sup>146</sup> błagania te żadnego nie odniosły skutku. Poleciwszy swoich doradców opiece boskiej, Giletta w stroju pielgrzymim w towarzystwie krewniaka i służki puściła się w drogę, zabierając z sobą większą sumę pieniędzy i klejnoty. Nikt nie wiedział, dokąd się udaje. Ona zasię<sup>147</sup>, nie zażywając w drodze wczasu<sup>148</sup>, podążyła do Florencji. Przybywszy do miasta szczęśliwie, zatrzymała się w niewielkiej oberży, należącej do pewnej wdowy, i poczęła żyć jako nabożna, uboga pielgrzymka, pragnąc jak najprędzej dowiedzieć się jakichś nowin o swym małżonku i panu. Zdarzyło się, że następnego dnia ujrzała Beltrama, przejeżdżającego koło oberży konno na czele swego oddziału. Chocia go od razu poznała, spytała oberżystki, kto to zacz?

— Jest to znaczny cudzoziemski pan — odparła gospodyni — imieniem grabia Beltram, człek uprzejmy i miły, ogólną czcią otaczany w mieście. Miłuje on z całego serca jedną z naszych sąsiadek, która jest ubogą szlachcianką. Ta obyczajna dziewczeczka nie wyszła dotąd za mąż z przyczyny swego ubóstwa. Mieszka ona pospołu z swoją matką, wielce zacną i roztropną białogłową. Gdyby nie wzgląd na tę matkę, już dawno uczyniłaby to, czego grabia pragnie.

<sup>141</sup>miast (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>litować (daw.) — tu: żalować, skąpić. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>kondycja (daw., z łac.) — warunek. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>respons (daw., z łac.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>zali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>wczas (daw.) — wypoczynek. [przypis edytorski]

Giletta słowa te usłyszawszy rozważyła każdy szczegół dokładnie i na okoliczności tej osnuła swój zręczny plan.

Dowiedziała się, jak się zowie i gdzie mieszka młódka, którą grabia miłuje, i pewnego dnia ukradkiem, w szatach pielgrzymich, udała się do domu jej matki. Obie białogłowy przyjęły ją w ubogiej izdebce. Giletta pozdrowiła je i poprosiła staruszkę o chwilę rozmowy. Ta podniósłszy się rzekła, że gotowa jest jej wysłuchać. Po chwili udały się same do sąsiedniej izby, a gdy na ławie zasiadły, grabini rzekła:

— Zdaje mi się, madonno, że fortuna jest wam przeciwna wielce, tak jako i mnie. Jeżeli jednak zechcecie, będziecie mogli mnie i siebie uszczęśliwić.

Staruszka odparła na to, że niczego tak nie pragnie, jak poprawienia swego losu drogą godziwą.

— Przede wszystkim trzeba, bym mogła na was polegać — rzekła grabini. — Jeżeli wam zaufam, a wy mnie zdradzicie, zepsowacie przez to w szczeret moje plany, a i same będziecie musiały żegnać się z nadzieją.

— Mówcie spokojnie — odparła staruszka — ja was z pewnością nie zdradzę.

Wówczas Giletta zaczęła swoją opowieść od chwili, gdy Beltrama pokochała, później wyznała, kim jest, i opowiedziała o wszystkim, co zaszło. Mówiła w sposób tak wzruszający, że dama słowom jej uwierzyła i współczuć z nią poczęła, tym bardziej że już ją słuchy o tej historii skądinąd doszły.

Grabini, wszystko szczegółowo wyjaśniewszy, rzekła:

— Teraz wiecie już, pani, co uczynić muszę, aby męża odzyskać. Znacie dwa warunki, których dopełnić winnam. Nikt mi w tym dopomóc nie może krom<sup>149</sup> was, jeżeli tylko prawdą jest, że grabia córkę waszą gorąco miłuje.

— Nie wiem, czyli ją miłuje, czy nie — odparła dama — to mi jeno<sup>150</sup> wiadomo, że całe jego postępowanie tego dowodzić się zdaje. W czym jednak użyteczna wam być mogę?

— Zaraz wam to powiem, madonno — rzekła Giletta — pierwszej jednak powiedzieć pragnę, jaką korzyść wam ta przysługa przyniesie. Wiem, że córka wasza, w wieku stosownym do małżeństwa będąca, wielką urodą celuje i że tylko dla braku wiana w domu swym dotąd ją trzymacie. Gotowa jestem za usługę, jaką mi wyświadczycie, takim wianem ją obdarzyć, jakie mi sami naznaczycie.

Damie, niedostatek cierpiącej, wielce te słowa do smaku przypadły, jednakże odparła, szlachetnością wiedziona:

— Powiedźcie mi, pani, co mam dla was uczynić? Jeśli to tylko nie będzie rzecz nieobyczajna, chętnie wszystko wypełnię, wy zaś później uczynicie, co się wam podoba.

Wówczas grabini rzekła:

— Należy, abyście przez zaufanego czelaka powiadomili mego męża, grabiego, że córka wasza gotowa jest poddać się jego woli, jeżeli tylko wprzód się upewni, że on miłuje ją w samej rzeczy tak gorąco, jak to okazuje. Jednakże nigdy temu wiary nie da, jeśli grabia nie przyśle jej wprzód pierścienia, który na palcu nosi, a w którym, jak słyszała, szczególnie sobie upodobał. Jeśli grabia pierścień ofiaruje, oddacie mi go, a później każecie powiedzieć memu mężowi, że córka wasza gotowa jest pragnienia jego wypełnić. Potem musicie go tu potajemnie przyprowadzić i mnie, miast córki swojej, położyć przy jego boku. Być może, że Bóg pozwoli, bym poczęła, i że mając na palcu jego pierścień, a na rękach dziecię, przez Beltrama spłodzone, odzyskam mego męża i za waszym przyczynieniem pocznę z nim żyć, jak to na parę małżonków przystało.

Trudną rzeczą wydało się damie spełnienie prośby grabini; staruszka obawiała się bowiem, że córkę jej mogą wziąć na języki. Rozważywszy jednakże, że chlubną jest rzeczą przyczynić się do powrócenia męża tak zacnej białogłowie i że uczciwej sprawie przyjsć ma w pomoc, ufając szczeroci uczuć grabiny, nie tylko przyrzekła Giletcie, że jej życzenia spełni, ale i natychmiast do dzieła się zabrała.

Wkrótce też, po kilku dniach, z wielką ostrożnością postępując, otrzymała pierścień — jakkolwiek ciężko przyszło grabiemu z nim się rozłączyć — a potem z wielką zręcznością, miast<sup>151</sup> córki swej, Gilette Beltramowi podsunęła. W czasie pierwszych miłosnych

<sup>149</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>miast (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

uniesień, tak przez grabiego upragnionych, żona jego z woli boskiej poczęła w swoim łonie dwa bliźnięta płci męskiej, jak się to w swoim czasie przy położu okazało. Nie raz i nie dwa uszczęśliwiła zacna dama grabinę pieścizotami jej męża, przy czym wszystko w takiej tajności utrzymywać umiała, że nikt o tym ani słowa nie uznał. Beltram, stale przekonany, że z łask umiłowanej dziewicy korzysta, obdarzał ją zawsze przy rannym rozstaniu mnóstwem szacownych podarków, których grabini troskliwie strzegła. Po pewnym czasie Giletta, poczuwszy się ciężarną, nie chciała już dłużej staruszki takimi sprawami zatrudniać i dlatego też rzekła:

— Madonno, Bogu i wam niech będą dzięki, pozyskałam bowiem to, czego pragnęłam. Pora więc teraz, abym wasze życzenia wypełniła i w świat odjechała.

Szlachetna dama odparła, że cieszy się wielce z tego, iż swymi staraniami grabini dopomóc zdołała, co się jednak nagrody tyczy, to działa bez myśli o niej, w przekonaniu, że dobrej sprawie służy, czyniąc, co przystało.

Giletta odparła:

— Pochwalić was muszę za wzniosłość duszy waszej, aliści<sup>152</sup> nie dla zapłaty chcę was obdarować, jeno<sup>153</sup> aby dobry uczynek spełnić, przekonana, że tak mi postąpić należy.

Wówczas dama, koniecznością przyciśniona, zażądała z wielkim wstydem stu dukatów na wiano dla swej córki. Grabini, ujrawszy rumieniec na jej obliczu i skromność żądania zważywszy, nie sto, ale pięćset dukatów jej ofiarowała, a na przydatek jeszcze piękne i szacowne klejnoty, które tyleż wartyły<sup>154</sup>. Starucha, wielce uradowana, jak najgorętszy dank<sup>155</sup> Giletcie złożyła. Po czym grabini opuściła jej dom i do gospody powróciła. Uczciwa dama tymczasem, nie chcąc, aby Beltram nadal jej dom nawiedzał ani kierował tu swoje posłania, opuściła pospołu z córką swoją miasto i do krewniaków swoich na wieś się udała. Wkrótce i Beltram, przez swoich poddanych przywołany, usłyszawszy, że Giletta zamek jego opuściła, do majątności swych powrócił. Grabini, ucieszona ogromnie z tej wieści, pozostała we Florencji, aby tam poług odbyć. Po pewnym czasie wydała na świat dwóch synaczków, podobnych na wszem do ojca, i z wielką troskliwością karmić ich poczęła. Gdy stosowna, jej zdaniem, chwila nastąpiła, wyruszyła w drogę i przez nikogo niepoznana, do Montpellier przybyła. Zażywając tu przez kilka dni wczasu<sup>156</sup>, dowiedziała się, że grabia w dzień Wszystkich Świętych wielką ucztę dla dam i rycerzy w Roussillonie wyprawia. Przybyła więc do Roussillonu w swych szatach pielgrzymich. Widząc, że rycerze i damy zebrali się już w zamku grabiego i że do stołu usiąść zamierzają, nie zmieniając odzienia, weszła do wnętrza z dziećmi drobnymi na rękach. Przecisnąwszy się przez tłum, zbliżyła się do Beltrama, upadła przed nim na kolana i rzekła z płaczem:

— Panie mój i władco, jestem nieszczęśliwą małżonką twoją, która pragnąc, abys do domu swego powrócił i w nim pozostał, długo błąkała się po świecie. Zaklinam cię na Boga, abys dotrzymał obietnicy, danej mi przez usta dwóch dworzan, moich wysłanników. Oto mam na rękach nie jedno, ale dwoje twoich dzieci, a na palcu twój pierścień. Słowem, nastał czas, abys mnie uznał za prawowitą małżonkę swoją, zgodnie z uczynionym przyrzeczeniem.

Grabia zadziwił się niepomniernie na te słowa, poznał bowiem swój pierścień i spostrzegł, że dzieciątka są wielce do niego podobne. Pełen osłupienia zapytał:

— Jak to stać się mogło?

Wówczas Giletta ku wielkiemu zadziwieniu Beltrama i wszystkich przytomnych<sup>157</sup> opowiedziała po porządku wszystko, co zaszło. Grabia, przekonawszy się, że żona szczerą prawdę powiada, ocenił w pełni jej wytrwałność i rozum i uradował się wielce z widoku dwóch pięknych synaczków swoich. Aby obietnicę swoją wypełnić i ukontentować wszystkich przytomnych, mężów i białogłowy, którzy jednogłośnie go prosili, aby żonę swą przyjął jako prawowitą i należycie ją uczcił, złożył pychę z swego serca, podniósł Gilette z kłęczek, ucałował ją i uściskał. Potem uznał ją za małżonkę, a dzieci za synów. Poleciwszy przybrać grabinię w szaty, do jej godności stosowne, ku wielkiemu ukonten-

<sup>152</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>wartać (daw.) — być wartym. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>dank (daw., z niem.) — podziękowanie, wyrazy wdzięczności. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>wczas (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>przytomny (daw.) — obecny. [przypis edytorski]

townianu wszystkich gości swoich i wasalów wspaniale uczył przez kilka dni wyprawiał. Odtąd w wielkim miał zachowaniu<sup>158</sup> żonę swoją, miłując ją gorąco i czcząc całą duszą”.

## OPOWIEŚĆ DZIESIĄTA. DIABEŁ I PIEKŁO

*Alibech staje się pustelnicą. Mnich Rustico poucza ją, jak należy diabła do piekieł zapędzać. Zabrana z pustelni, staje się żoną Neerbala.*

Dioneo, wysłuchawszy uważnie do końca opowieści królowej, wiedział, że teraz jemu już tylko mówić przypadnie, dlatego też, nie czekając rozkazu, zaczął z uśmiechem w te słowa:

— Miłe damy, nie słyszałyście zapewne nigdy o tym, jak to się diabła do piekła zapędza. Dlatego też poza obręb materii do opowieści wybranej nie wychodząc, chcę wam o tym przedmiocie powiedzieć. Może być, że zbawicie dusze swoje, gdy podobnej sztuczki użyjecie, a także poznacie, że chociaż Amor ochotniej przebywa w wesołych pałacach i rozkosznych komnatach niżli w ubogich lepiankach, jednakże moc swoją objawia niekiedy także pośród gęstych borów, stromych skał i w odludnych jaskiniach. Stąd łatwo wnosić można, że wszystko na świecie jest jego władzy podległe.

„Przechodząc do rzeczy, powiem, że w mieście Capsa<sup>159</sup> w Barberii mieszkał przed laty pewien bogaty człek, który pośród wielu innych dzieci posiadał piękną i urodziwą córkę, zwaną Alibech. Dzieweczka ta, nie będąc chrześcijanką, słyszała nieraz, jak to chrześcijanie, w Capsa przebywający, wiarę swoją i swoją służbę bożą wynoszą. Dlatego też zapytała pewnego dnia spotkanego na drodze chrześcijanina, w jaki sposób Bogu najlepiej służyć można. Zapytany odparł, że najlepiej Bogu służą ci, co najdalej od ziemskich spraw uciekają, na podobieństwo pustelników, którzy na pustynię Tebaidy<sup>160</sup> się udali. Wówczas niedoświadczona dziewczyna, która zaledwie czternaście lat liczyła, raczej dziecinnym zachceniem niż pragnieniem rozumnym powodowana, nie pytając się nikogo o radę, samiuteńka wybrała się w tajności następnego ranka w drogę do Tebaidy. Po wielu trudach, dążąc naprzód wytrwale, dotarła wreszcie do jednej z pusteln. Obaczywszy z daleka lepiankę, weszła do jej wnętrza, gdzie natknęła się na pewnego świątobliwego męża w drzwiach stojącego. Ów, pełen zadziwienia, zapytał, czego tu szuka. Dzieweczka odparła, że głosem bożym natchniona, szuka człeka, który by jej służby bożej nauczył.

Zacny pustelnik, zważywszy jej młodość i wdzięki, począł obawiać się, że diabeł podkusić go może, jeżeli ją przy sobie zatrzyma, dlatego też pochwalił jej zamiar cnotliwy, nakarmił ją korzonkami, daktylami i dzikimi jabłkami, pokrzepił ją świeżą wodą i rzekł:

— Niedaleko od tego miejsca, moja córko, mieszka pewien świątobliwy mąż, który w tej materii daleko lepszym nauczycielem dla ciebie się okaże niżli ja. Radzę ci, abyś się do niego udała.

Młódka ruszyła w drogę, a przybywszy do świątobliwego męża, podobną radę usłyszała. Wędrując dalej, doszła do pustelni młodego pustelnika, wielce zacnego i nabożnego człeka, zwanego Rustico. Obróciła się doń z podobnym co i do innych zapytaniem.

Rustico, chcąc na wielką próbę swoją cnotę wystawić, nie odprawił jej, lecz w celi swojej ją zatrzymał. Za nadejściem nocy narychtował jej łożo z palmowych liści i wezwał ją, aby się na nim położyła. Wkrótce pokusy walną rozprawę wstrzemięźliwości pustelnika wydały. Czując, że siły swoje przecenił, nie czekał już na dalsze szturmy, jeno<sup>161</sup> podał przemocy tył i za zwyciężonego się uznał. Ostawiwszy więc świątobliwe rozmyślenia, modlitwy i biczowania, przywołał na pamięć urodę i młodość dziewczynki i ją<sup>162</sup> się głowić nad tym, jaką drogą mógłby dojść do celu tak, aby ona nie spostrzegła, że jako człek rozwiązywał tylko zaspokojenie swych chuci miał na celu. Najpierw zadał jej szereg pytań i z responsów<sup>163</sup> jej poznał dowodnie, że jeszcze nie wie wcale, co to za zwierzę jest

Diabeł, Piekło, Kobieta,  
Mężczyzna, Seks,  
Pobożność

<sup>158</sup>mieć kogoś zachowaniu (daw.) — poważać, szanować kogoś. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>Capsa — starożytna nazwa miasta położonego w Tunezji (dziś: Kafa a. Gafsa; arab. Qafsa), będącego niegdyś ośrodkiem mezolitycznej kultury kapskiej. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>Tebaida — kraina położona w okolicy staroż. Teb w Egipcie. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>respons (z łac., daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

mężczyzna, a także, że jest w samej rzeczy tak nierozgarniona<sup>164</sup>, jaką się być wydawa<sup>165</sup>. Upewniwszy się o tym, postanowił pod pokrywką służby bożej do tego ją przywieść, aby jego woli posłuszną była. Przede wszystkim więc szyroce<sup>166</sup> rozpowiadał jej o diable, zaprzysięgłym wrogu ludzkiego rodzaju i Boga, a później dał jej do zrozumienia, że niczym Bogu bardziej przysłużyć się nie może, jak zapędzeniem czarta do piekła, dokąd Twórca na wieczność go wygnał.

Dziewczyna zapytała, jak się do tego zabrać należy.

— Zaraz obaczysz — odparł Rustico — czyni tylko to, co ja czynić będę.

Rzekłszy te słowa, zrzucił z siebie swój nędzny przyodziewek i obnażony całkiem padł na kolana, jak gdyby modły zanosić postanowił. Młódka, równie naga, uklękła naprzeciw niego. Rustico, widząc ją w tej postaci, jeszcze większą żądzą zapalał, tak iż nastąpiło zmartwychwstanie jego przyrodzenia. Alibech, spostrzegłszy to, zawołała w srogim zdziwieniu:

— Rzeknij mi, Rustico, co to u ciebie dzwiga się na przodzie, czego ja wcale nie mam?

— Ach, córko moja — jęknął Rustico — jest to ów diabeł, o którym ci mówiłem. Teraz właśnie dręczy mnie tak okrutnie, że ledwie wytrzymać mogę.

— Niech Bóg będzie pochwalony — zawołała dziewczeczka — widzę, że ja jestem szczęśliwsza od ciebie, nie mam bowiem takiego plugawego diabła.

— Prawdę rzekłaś — odparł Rustico — ale posiadasz za to inną rzecz, której ja nie mam.

— Cóż to takiego? — spytała Alibech.

— Masz piekło — rzekł Rustico — i zaprawdę, powiadam ci, że Bóg cię tu przysłał dla zbawienia duszy mojej, jeżeli się bowiem ulitujesz nade mną i jeśli, gdy ten diabeł męczyć mnie pocnie, zgodzisz się, bym go do piekła zapędził, wielką ulgę mi sprawisz i uczynisz Bogu rzecz wielce miłą, co jako rzeczesz, jest przyczyną twojego tu przybycia.

Dziewczyna odparła w dobrej wierze:

— Czcigodny ojcze, jeżeli w samej rzeczy mam piekło, to niech się stanie, jak chcesz.

— Bądź błogosławiona, córko moja — zawołał pustelnik — pójdźmy więc i zapędźmy diabła, abym mógł ulżenia i spokoju zaznać.

Z tymi słowy zaprowadził dziewczeczkę na posłanie i pokazał jej, jak się zachować należy, gdy się chce potępieńca uwięzić. Młódka, która jeszcze nigdy żadnego diabła do piekła nie zapędzała, uczuła na razie przykrość niejaką i dlatego też rzekła:

— Zaiste, mój ojcze, diabeł ten musi być obmierzłym potworem i prawdziwym nieprzyjacielem Boga, bowiem nawet samemu piekłu przy wejściu prawdziwą udrękę sprawia.

— Moja córko — zawołał Rustico — nie zawsze tak będzie!

I aby diabła poskromić, nim podnieśli się z posłania, jeszcze sześć razy go do piekła zapędzili, tak że mu na ten raz pychę z głowy wybili i do spokojności go przywiedli. Ilekroć później znów się w nieposkromionej dumie podnosił, dziewczeczka okazywała się zawsze skłonna do upokarzania go, znajdując wielkie w tym ćwiczeniu ukontentowanie. Mawiała tedy<sup>167</sup> do Rustica:

— Widzę teraz dowodnie, że prawdę powiadali ci poczciwcy z Capsa, twierdząc, iż nader miłą rzeczą jest Bogu służyć. Istotnie bowiem nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek z jakiejś pracy tyle rozkoszy odnosiła, co z tego zapędzania diabła do piekła. Wnoszę stąd, że każdy, kto z całych sił Bogu służyć się nie stara, jest jeno<sup>168</sup> zwierzęciem bezrozumnym.

Dlatego też przychodziła często do Rustica i odzywała się na ten kształt:

— Czcigodny ojcze, przybyłam tutaj po to, aby Bogu służyć, a nie, aby próżnować. Chodźmy więc i diabła do piekła wraźajmy!

Podczas nabożnego ćwiczenia mawiała zasię<sup>169</sup>:

<sup>164</sup>*nierozgarniony* (daw.) — dziś: nierozgarnięty. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>*wydawa* (daw.) — dziś: wydaje. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>*szyroce* — dziś popr.: szeroko. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>*tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>*jeno* (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>*zasię* (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]



— Nie pojmuję, Rustico, dlaczego ten diabeł z piekła ucieka? Gdyby w nim tak ochotnie pozostawał, jak piekło go ochotnie przyjmuje, wiecznie by tam przebywać powinien.

Takim zachęceniem i pobudzaniem do służby bożej młódka wreszcie Rusticowi tyle welny z kaftana uszczknęła, że w chwili gdy poty biłyby na innego, zimny go już tylko dreszcz przejmował. Dlatego też powiedział wreszcie Alibech otwarcie, że diabła tylko wtedy gnębić i do piekła pędzić potrzeba, gdy głowę z pychy zbyt do góry podnosi.

— My zaś — dodał — za łaską bożą takeśmy go ujarzmili, że prosi tylko o jedno: ażeby go w spokoju pozostawić.

Słowami tymi skłonił na niejaki czas dziewczynę do spokojności. Po paru dniach jednakże, widząc, że Rustico wcale nie kwapi się z zapędzaniem diabła do piekła, Alibech rzekła:

— Rustico, jeżeli twój diabeł, już poskromionym będąc, dokuczać ci przestał, to moje piekło spokoju mi nie daje. Spełnisz więc dobry uczynek, dopomógłszy mi przy pomocy diabła okiełznać nieco wściekłość piekła mego, tak jak ja piekłem mym pomogłam ci upokorzyć pychę twego diabła.

Rustico, który jadał tylko korzonki, popijając je czystą wodą, niechętnie na te zaproszenia odpowiadał i tłumaczył Alibech, że dla uspokojenia piekła całej czeredy diabłów potrzeba. Obiecywał jednak, że będzie jej pomagał w miarę sił swoich. W samej rzeczy niekiedy jeszcze Alibech zadawała, aliści<sup>170</sup> zdarzało się to tak rzadko, że znaczyło tyleż, co ziarenko grochu rzucone w paszczę lwa. Dziewczyna widząc, że nie może Bogu służyć tak, jak by pragnęła, wielkie nieukontentowanie okazywała.

Gdy ten spór między diabłem Rustica a piekłem Alibech trwał ustawicznie, z przychyny zbytniej żądz z jednej strony, a wątych sił z drugiej, zdarzyło się, że w Capsa wybuchł pożar, którego ofiarą padł we własnym domu rodzic Alibech pospołu ze swymi dziećmi i całą rodziną. Alibech stała się tedy<sup>171</sup> jedyną dziedziczką dóbr rozległych. Na wieść o tym pewien młodzieniec, nazwiskiem Neerbał, który cały swój majątek na życie wesołe zmarnotrawił, postanowił odszukać Alibech, zasłyszawszy, że dziewczeczka żyje. Wybrał się tedy w drogę i odnalazł ją, nim jeszcze państwo przez sądy zdołało zagarnąć spuściznę, co bez dziedzica pozostawała. Ku wielkiej radości Rustica, a wbrew jej woli, zabrał Alibech do Capsy, uczynił ją żoną swoją i we władanie wszystkie jej majątności objął.

Gdy niewiasty przed wprowadzeniem jej do ślubnej łożnicy zapytały, w jaki sposób na pustyni Bogu służyła, Alibech, która jeszcze pospołu z Neerbałem nie była spała, odparła, że trudziła się zapędzaniem diabła do piekła i że Neerbał wielki grzech popełnił, odrywając ją od jej cnych powinności. Białogłowy zapytały wówczas:

— W jaki to sposób diabła do piekła się zapędza?

Alibech słowami i znakami dowodnie wszystko im wytłumaczyła. Wszystkie przytomne<sup>172</sup> niewiasty gromkim śmiechem wybuchnęły, a potem rzekły:

— Nie turbuj się zbytnio, dziewczeczko, bowiem i u nas podobnie dobre uczynki spełniać umieją. Neerbał pospołu z tobą nie gorzej Bogu służyć potrafi.

Później rozniosły całą tę historię po mieście, tak iż wkrótce nowe przysłowie powstało: „Najmilsza służba dla Boga — wtrącać w piekło jego wroga”. Owa pogwarka, przyszedłszy do nas zza morza, i dzisiaj jeszcze jest na ustach wszystkich. Dlatego też wy, młode damy, którym łaski bożej potrzeba, nauczcie się diabła do piekła zapędzać, bowiem Bóg chętnie na to patrzy, nie mówiąc już o tym, że dla obu stron jest to zajęcie miłe, z którego wiele dobrego począć się może”.

Tysiąc razy, jeśli nie więcej, opowieść Dionea damy do śmiechu przywodziła, tak krotochwilnymi<sup>173</sup> bowiem jego słowa im się wydały. Gdy Dioneo opowieść swoją zakończył, królowa, wiedząc, że kres jej władzy nastąpił, laurowy wieniec z głowy swej zdjęła i włożywszy go z wielkim wdziękiem na skronie Filostrata rzekła:

— Obaczmy teraz, czy wilk lepiej owieczkom przewodzić potrafi, aniżeli one wilkom przewodziły.

<sup>170</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>przytomny (daw.) — obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

<sup>173</sup>krotochwilny (daw.) — żartobliwy. [przypis edytorski]

— Gdyby to ode mnie zależało — odparł Filostrato ze śmiechem — wilki dawno by już nauczyły owieczki diabła do piekła zapędzać nie gorzej, jak to Rustico Alibech nauczył. Nie nazywajcież więc nas wilkami, skoro same owcami nie jesteście. Ponieważ jednak mnie władza oddana została, rządy sprawował będę.

— Słuchaj, Filostracie — rzekła Neifile — chcąc nas uczyć, może byś nabrał sam znajomości rzeczy, tak jak jej nabrał Masetto z Lamporecchio od mniszek, a mowę odzyskałbyś dopiero wtedy, gdyby ci kości, jak u szkieletu, dzwonić poczęły.

Filostrato, czując, że kosa na kamień trafiła, ostawił żarty na stronie i rządy sprawować zaczął. Przywoławszy marszałka, o wszystko szczegółowie<sup>174</sup> się go wypytał, po czym z wielką roztropnością na czas swego wladania różne rozkazy wydał, których spełnienie rzeczą potrzebną i przyjemną dla towarzystwa być mu się wydało.

Później z następującymi słowy do dam się obrócił:

— Najwdzięczniejsze damy! Odkąd, na nieszczęście moje, nauczyłem się zło od bra odróżniać, zawsze z powodu piękności tej czy innej białogłowy władzy Amora byłem zhołdowany. Aliści na niewiele się zdało, że byłem mu uległy, posłuszny i że wszystkich jego ustanowień pilnie przestrzegałem. Opuścił mnie był dla innego, szczęśliwszego ode mnie, a później i to sprawił, że coraz gorzej wieść mi się zaczęło. I tak już, wierę<sup>175</sup>, dotrwać mi przyjdzie do śmierci. Dlatego nie chcę, aby przedmiotem jutrzejszych opowieści była materia inna jak ta, która mej niedoli najbardziej odpowiada. Opowiadajcie zatem o ludziach, których miłość nieszczęsny miała koniec. I ja bowiem pewien jestem smutnego mej miłości skutku; nie darmo imię, którym mnie zowiecie, zostało mi nadane przez człeka, dobrze rozumiejącego jego sens zakryty.

Rzekłszy te słowa, Filostrato podniósł się i pożegnał wszystkich do wieczery. Ogród był tak piękny i miły, że nikomu z towarzystwa nie przyszło nawet na myśl opuścić go, aby gdzie indziej wczasu lepiej zażywać. Gasnące promienie zachodzącego słońca, żarem już nie tchnąc, pozwalały niektórym z pań biegać po sadzie i ścigać łanie, króliki i inne zwierzątka, które poprzednio, gdy siedzieli wkoło, może po sto razy obok ludzi w podskokach przebiegały, niepokojąc zebranych. Dioneo i Fiammetta jęli śpiewać o rycerzu Wilhelmie i damie z Vergi. Filomena i Panfilo grze w szachy się oddali. Gdy tak jedni tym, a drudzy owym zabawieni byli, umykały godziny i dziwnie rychło nastąpił czas wieczery. Rozstawiono stoły wokół pięknej fontanny i wszyscy do wesołej biesiady zasiedli. Filostrato, nie chcąc odstępować od obyczaju swoich poprzedniczek-królowych, rozkazał, gdy już stoły uprzątnięto, aby Lauretta zaśpiewała i taniec zawiodła<sup>176</sup>.

— Panie mój — odparła Lauretta — nie znam żadnych pieśni przez innych ułożonych, z moich zaś nie pomnę takiej, która by naszej ohochozej kompanii odpowiadać mogła. Jeśli jednakże chcecie posłuchać tego, co umiem, zaśpiewam wam chętnie.

— Wszystko, co uczynisz — rzekł król — będzie dla nas piękne i miłe. Obdarz więc nas, czymkolwiek chcesz.

Wówczas Lauretta łagodnym, pełnym melancholii głosem, przy wtórze innych tak śpiewać poczęła:

Któż, co okrutne ponosi męczarnie,  
Ma równe prawo do skargi  
Jak ja, do której wszelki ból się garnie?

Władca gwiazd jasných, rządzący tym światem,  
Igraszkę czyni sobie z mej istoty,  
Bo choć mnie okrył wdzięków majestatem,  
Który dla ludzi blask rozsiewa złoty  
Pod niebios Jego sklepieniem bogatym,  
Jednak mych wdzięków nie wając ni cnoty,  
Mrok na słoneczne me spuścił tęsknoty  
I radość w wieczną przemienił męczarnię.

<sup>174</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>zawieść taniec — tu: poprowadzić taniec. [przypis edytorski]

Gdy w przeszłość tęsknym podążę wspomnieniem,  
Widzę młodzieńca, co mnie, dzieckiem prawie,  
Obdarzył sercem i objął ramieniem.  
Dni swe mej służbie oddał i zabawie,  
Pojąc się wzroku mojego płomieniem.  
Ach, nigdy tego słowem nie wysławię,  
Jak cudnych marzeń był on mi wcieleniem,  
Z jakim patrzyłam w niego zachwyceniem!  
Lecz całe szczęście to wnet znikło marnie!

Inny wziął potem duszę mą i ciało,  
Lecz jak odmienny: pyszny z swego rodu,  
Z twarzą pochmurną zawsze i zuchwałą.  
Ten mnie uczynił służką swą za młodu,  
A gdy zazdrości oddał duszę całą,  
Gorycz poczułam w złotych krużach miodu.  
Ach, czuję teraz wśród łez i zawodu,  
Że mych afektów by dla wielu stało  
I że ten jeden więzi mnie bezkarnie!

Skarżyć się muszę dziś na twarde losy;  
Cóż mnie skłoniło wyrzec zgody słowo  
I czarną szatę zmienić na godową?  
W tej czarnej śmiały się do mnie niebiosy,  
A w jasnej żalność odczuwam grobową!  
O dniu zaślubin, źródle łez mych rosy!  
O dniu, gdy perły wplatając we włosy,  
Miał być szczęśliwą poczęłam na nowo  
Tęsknić i srogie wciąż znosić męczarnie!

Druhu radosnych chwil mojej młodości,  
Któremu równy już mi nie był dany,  
Jeśli istniejesz gdzieś na wysokości,  
Proś Boga, łzami szczerymi zalany,  
Za tę, co tutaj usycha w żalności,  
Idąc w hymenu szlak, cierniem usłany!  
Niech się nie goją mego serca rany,  
Niech dawny płomień znów we mnie zagości,  
Lub niechaj przetnie śmierć moją męczarnie!

Tutaj Lauretta umilkła. Wszyscy uważnie pieśni słuchali, różnie ją pojmując. Znaleźli się i tacy, co na mediolańską modłę myśląc, rzekli, że dobra wieprzowina lepsza jest od urodziwej białogłowy. Inni jednakże pojęli głębokie i podniosłe znaczenie pieśni, o którym jednak mówić teraz nie pora. Po czym na rozkaz króla zapalono pochodnie, pośród kwiatów i zieleni ukryte. Towarzystwo wielu jeszcze pieśni słuchało, póki gwiazdy na niebie nie zmierzchły. Wówczas zdało im się, że pora wczasu nadeszła. Życząc sobie dobrej nocy, wszyscy do izb swych na spoczynek się udali.

*Kończy się trzeci dzień Dekameronu i zaczyna czwarty, w którym, zgodnie z wolą króla Filostrata, opowiada się o tych, których miłość kres nieszczęśliwy znalazła.*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dekameron-dzien-trzeci>

Tekst opracowany na podstawie: Giovanni Boccaccio, Dekameron, tłum. Edward Boyé, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1975.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Aleksandrę Sekułę. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Paulina Oltusek, Wojciech Kottwica.

Okładka na podstawie: Dinner @ The Village Pub, Swaminathan@Flickr, CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do *Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur* i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: *szczegóły na stronie Fundacji*.